



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KASSANDRA

(przekład z Wiktora Hugo).

(Dziedziniec przed królewskim pałacem Atrydów. —
Kassandra na wozie. — Klitemnestra u przedsi-
onka. — Chór).

Chór

Z krwi królów jest, lecz w gruzy legła jej stolica;
Mając prawo na wozie jechać, niewolnica
Nie chce zeń zsiąść. Odkiedy pojmaną została,
Nie mówi nic. Marmurów Syrty bryła biała,
Lub śnieg na Tule, nie są zimniejsze, niż ona,
Ponura branka, w ciemną przyszłość zapatrzona....
Strasliwe bóstwo mieszka w niej! Ten, który
Tchem swym wrzusał Dodonę, a na Tebów mury
Dźwiękami liry kruszył granitowe skały,
Apollo z Ombos w nieme gorączki jej szaly
Blask swój rzuca. Dni przyszłych ogląda zjawiska
I krwawej łuny płomień nad czołem jej błyska.
Królowa jest! kapłanka jest! jest prorokini
I niewolnica!... Dziwne igrzyska los czyni...
Lud, który patrzył, jako bosych niewolników
Dzidami gnano kupy, i śmiał się z ich krzyków,
Jej się zląkł... Tej milczącej postaci się boi!

Klitemnestra

Zstąp na ziemię. Nie jesteś tu w ojczyźnie twojej...

Chór

Zstąp, usłuchaj... Królowa to ci mówi.

Klitemnestra

Prędeży!

Odeszłam w krosnach moich purpurowej przedży
I stać tu nie mam czasu. Król zaraz przybywa.

Lecz ty mnie nie rozumiesz może, nieszczęśliwa?
Może w kraju twym inne są ust ludzkich słowa?
Zatem jak barbarzyńców niech będzie twa mowa,
Wyrażona przez znaki.

Chór

Ktoby jej języka
Klucz dostał, znałby sztukę, którą się odmyka
Głęb' jej serca...

Klitemnestra

Nie będę już do niej mówiła.
Ust jej wargi zacina straszna żalu siła:
Marzy teraz o Troi, o jej jasnym niebie.
(odchodzi do pałacu)

Chór

Wierzaj mi, nienawisci nie mam ja do ciebie.
Zejdź z wozu, ustąp losom, weź łańcuch na nogi.

Kassandra (z krzykiem)

O ziemi! O niebios! Bogi!... Wielkie Bogi!
Apolliniel!...

Apollo Loxias

Tu jestem, obok. Życ ci każe,
Abyś widziała Argos, jak Troję—w pożarze...

M. I.

O BOWIĄZEK.

(Dalszy ciąg)

„Dobrze jest dla ducha ludzkiego rozpatrywać się w dziełach miłości, w dziełach dokonywanych nie dla celów egoistycznych“, — pisze Smiles w ustępie: *Piękne dusze*, a radę tę daje czytelnikom swoim z tym zamiarem, aby im to pomogło do zdobycia, do rozbudzenia w sobie przymiotu wielkoduszności (magnanimity). Najznakomitsze umysły mogą nie posiadać ani trochy wielkoduszności, bo dają ją nie tylko rozum, ale i zdolność wierzenia (capacity for faith), przez którą człowiek może ogarnąć umysłem coś więcej niż to, co przedstawiają mu zmysły. Ta władza (którą nazywałabym idealnością) czyni człowieka istotą rozumną: czems więcej niżeli zwierzę. Darwin w dziele swem: *Descent of Man* (vol. 1, chap. 11) pisze: — Pobudki sumienia w związku z wyrzutami żalu, z uczuciem obowiązku, stanowią najważniejszą z różnic, które oddzielają człowieka od zwierzęcia“. Wierzyć we wszechmoc materii, jest to wierzyć w to tylko, co widzą oczy, czego dotykają się ręce: w to, co wytłumaczyć sobie możemy; lecz byłoby to zamknąć się w obrębie niezmiernie ciasnym, bo jakże niewielkim, jakże małym jest zakres tego, co możemy doskonale znać i rozumieć! Widzimy tylko powierzchnię rzeczy, i przez materią samą jakże zdołalibyśmy zrozumieć tajemnicę życia? Nie wiemy nic zupełnie o powstawaniu w nas woli, uczucia, czynności umysłu: wiemy o nich, że istnieją, lecz nie nadto.

Musimy też wierzyć w mnóstwo rzeczy nieprzedstawionych nam przez zmysły, i Smiles

przytacza anegdotkę o pewnym cudzoziemcu, który, będąc raz na obiedzie z Sidney'em Smithem, uczynił w ciągu toczony przy stole rozmowy wyznanie wiary materialistycznej. — Jaki wyborny suflet!... — ozwał się naraz Smith, wskazując na leguminę, którą mieli na talerzach. — Oui, monsieur, — odpowiada obcy, — il est ravissant. — Pozwól mi pan zapytać się przy okoliczności; czy wierzysz w kucharza? — rzekł Smith.

Materya w kombinacjach swoich jest dla nas niemniej niepojęta, jak życie samo i sprawy ducha. Spójrzmy na niezliczone mnóstwo światów krążących po wykreślonych sobie drogach, na ziemię naszą, która w ciągu swego rocznego obiegu wkoło słońca obraca się codziennie w koło osi swojej, tworząc nam dzień i noc. Cóż my wiemy o przyczynach tego ruchu, co możemy wiedzieć kiedykolwiek, prócz samego faktu, że tak jest?

Gwiazdy zataczają w przestrzeni kregi owiele obszerniejsze, niżeli droga ziemi naszej wkoło słońca; poza naszym światem słonecznym rozciągają się przestwory nieprzejrzone przez wzrok ludzki i obszar, który oko nasze ogarnąć może, jest tylko punkcikiem małym wśród niezmierności natury. Atomy wyobrażać sobie możemy tylko przez porównanie z rzeczywistością, której sferą jest nieskończoność: środek jest wszędzie, lecz linia obwodu nigdzie. Czemże jest człowiek wśród tego ogromu, wśród tej nieskończoności? Istnieje przecież druga jeszcze nieskończoność poniżej niego. Spójrzmy na najmniejszy twór, jaki dojrzeć możemy, na najmniejszego owadka. Ma on członki, żyły, w nich krew, w tej krwi kulki, humory, limfę. W zamkniętym obrębie tego atomu pokazuje się, nietylko cały świat widzialny, ale nieskończoność natury i kto tylko zapuści się umysłem w te rzeczy, przeraża się sam nad sobą, myśląc: gdzie umieszczonym został? jak zawieszonym między niezmiernością i nicością? Tylko Sprawca tych cudów rozumie je — nikt inny, tylko On!

Ale każdy na tym kawalku miejsca, na którym postawionym został, powinien spełniać przeznaczenie swoje — swój obowiązek. Człowiek poczuwał się do tego od najdawniejszych czasów, i możemy uczyć się od starych Greków szlachetnego pojęcia obowiązku. Sokrates, który urodził się na 470 lat przed Chrystusem, miał przekonanie, że Bóstwo przeznaczyło go do rozbudzania uczucia moralnego w ludziach i poświęcił się temu w zupełności. Wielu uważa go za twórcę filozofii greckiej, a całe jego życie było szlachetnym przykładem nauk jego mądrości. Kształcił się najpierw na rzeźbiarza; gdy przecież ojczyzna jego potrzebowała obrony, uczynił się żołnierzem i po dwakroć odznaczył się czynem wzniosłego bohaterstwa: odwagi i miłości bliźniego. W potyczce pod Potideą uniósł z pomocą nieprzyjaciół rannego Alcybiadesa i nawet broń jego, aby nie dostała się wrogom; w morderczej bitwie na polach Delium dokonał tego samego dla Xenofonta. Pochwycił go na barki i odcinając się nieprzyjaciółom, doniósł do bezpiecznego miejsca.

Umiał być równie odważnym i wielkodusznym mężem w radzie swego narodu. Stawił czoło tłumom wzburzonym i dopuszczającym się niesprawiedliwości, za co złożono go z urzędu i dotknięto bolesną karą niepopularności; on przecież stał się wtedy, nie mizantropem, ale nauczycielem ludu. Stawał na placach publicznych, wchodził do warsztatów i szkół, aby przemawiać; rzesze pragnących mądrości chodziły za nim i słuchały go, pozyskał sobie uczniów, pomiędzy którymi był Plato. Były to czasy smutne, czasy sceptycyzmu; metafizyczne spekulacje nad naturą wprowadzały w umysły zamieszanie i zwątpienie. Zastanawiano się tak właśnie, jak za dni naszych: czy warto jest żyć? On kazał ludziom patrzeć w siebie i słuchać głosu, który tam jest — sumienia. Ofiarowano mu złoto (Aristyppus) za tę naukę mądrości, ale nie przyjął go: kochał cnotę i dla niej jedynie, dla jej słodkich nagród, pełnił obowiązek. Stanowiło to część jego nauk, że cnotliwość jest jedyną drogą, wiodącą do ziemskiego i zaziemskiego szczęścia; wierzył w jedność cnoty i w to, że należy jej się tak uczyć, tak jej nabywać jak umiejętność, jak wiedzy, a tę tylko nau-

kę uważał za dobrą i pożyteczną, która wiodła do celów dobra i wielkich nadziei nadziemskich. Nie nawidził fałszu i niesprawiedliwości, małością gardził i występował z tem głośno i odważnie, że tylko mądrość może rządzić i nauczać. Ci, których obrażał i dotykał w ten sposób, wystąpili przeciw niemu: zarzucono mu bezbożność, oskarżono go, że psuje młodzież, odwodząc ją od Bóstwa i podburzono przeciw niemu kapłanów. Skazany na wypicie trucizny, przyjął wyrok śmierci spokojnie i nie chciał uchodzić z więzienia; otoczony uczniami nauczał o nieśmiertelności duszy aż do chwili zgonu ostatniej. O zachodzie słońca wypił cykute i zmarł śmiercią sprawiedliwego, wierząc, że odchodzi w świat inny: w świat wiary swojej i nadziei niezawodnych.

Nie spisał nauk swoich i zostały one tylko w mądrości przekazanej uczniom jego. Platon, który przepędził przy jego boku lat dziesięć, uwiecznił je w sławnych swych *rozmowach*, w których przecież trudno rozróżnić, co tu jest duchową własnością Sokratesa, a co jego własną. I on, jak niegdyś mistrz jego, nauczał publicznie mądrości. Etyka Platonska podzieliła dobro na cztery cnoty główne: Roztropność, Odwagę, Wstrzemięźliwość i Sprawiedliwość. Roztropność podnieść kazał przez mądrość; odwagę przez stałość i hart; wstrzemięźliwość przez karność duchową i powściągliwość; sprawiedliwość przez prawosć. Zasadę moralnej filozofii swojej oparł na podstawie tak ugruntowanych cnót i powiedział ludziom, aby „we wszystkich stanach, czy szczęśliwi są lub nie, czy tryumfują, lub są zwyciężeni, pełnili obowiązek i zostawali już w spokoju“.

Taki stan ducha wyrabia charaktery. Smiles naucza przez usta innego, nowożytnego już, myśliciela (Dr Macleod), że charakter kształci się przez wykonywanie sumienne tych drobnych obowiązków, które spotykamy w życiu codziennie: przez czyny powszednie miłości, ofiary, wstrzemięźliwości. Treść charakteru, podstawa jego główna, kamień węgielny wytwarza się i urasta, kształci u ogniska domowego. Jakieby nie były prawa krajowe, wpływy, jakie wnosimy z domów naszych oddziaływają na nie i urabiają je do pewnego choć stopnia. Ten kto jest sumiennym w rzeczach drobnych, sumiennym będzie w wielkich, i naodwrot nie sumiennym dopuszczona do drobnostek niyb, przenosi się w zakres czynów wysokiego znaczenia. Dobroć rodzi dobroć; prawda i dobra wiara przynosi plon prawdy i uczciwości. Jest przed nami do spełnienia mnóstwo tak drobnych, że aż trywialnych niyb dobrych czynków, które więcej wykazują nam charakter człowieka, niżeli ważniejsze na pozór rzeczy; każdemu łatwo je wykonywać: a przecież z nich-to tworzy się życie; ich skutki trwają często dłużej niżeli ono samo, bo w dziedzinie dobra nic nie przepada, nic nie ginie, i jestto wciąż jedno życie, które przybiera tylko kształty nowe. Dobre czyny, dobre przykłady są nieśmiertelne; wiekuistym jest ich trwanie w pokoleniu, w narodzie, w ludzkości. Rama butwieje i rozsypuje się w proch, ale zostaje odcisk niepożyty i modeluje myśli i wolę przyszłych ludzi. Czas nie stanowi granic dla dzieł szlachetnych, *jutro* bierze je w puściznie po *dzisiaj* naszym i nieraz dość jednego cnotliwego istnienia, aby podnieść na długo, na wieki, całą okolicę, całe miasto, cały naród. — Chwila bieżąca to potężne bóstwo!... powiedział Goethe; co spełnia, na co zezwala, staje się nieodwołalnym już, już nic tego nie wymaże z ksiąg żywota. Uważamy słusznie, że wśród produkcji ludzkości najszlachetniejsze są te dzieła, te czyny, te myśli uświęcające, które według przekonania naszego będą zapładniać przyszłość i działać jeszcze w sferze czynów spełniających się już po nas; przecież z tych drobnych ziarenek dobra, które wsiewać możemy w grunt życia codziennego, niemal z każdą upływającą chwilą, wschodzi i rośnie najobfitszy plon takiego zbioru wieków.

Aby przecież tak było, trzeba nam przekonania nasze wcielać w żywe czyny, bo tylko czyn jest potęgą; co myślimy i czujemy, to dla nas jedynie, dla innych jest tylko to, co zdziałamy. A nawet dla nas samych życie rzeczywiste istnieje tylko w działalności czynnej. Z czynów nietylko tworzy się summa naszych zasług i wyrabia forma

dla naszych nawyknień, ale czyny stanowią o naszym charakterze. Droga obowiązku nie zawsze jest równa, trzeba na niej wiele przenieść, wiele przezwyciężyć, przełamywać zapory, zwalczać trudności. Często mamy dość rozumu, aby czuć tego potrzebę, tego konieczność, ale niezawsze dość siły, aby tego dokonać. Ryczące lwy zastępują ścieżki wahających się i opieszających: pragnie się niby czegoś, marzy o tem, rozmyśla, ale czas upływa i nie czynimy nic... Potrzeba tu nietylko zadać sobie gwałt w tem, co pociąga, co nęci: trzeba jeszcze podnieść się często ponad sady ludzkie i walczyć z opinią świata. Kto w chwili działania pyta się: — A co o tem powiedzą?... nie jest człowiekiem przekonani, człowiekiem czynów wyższych. Koterya, konwenans zgniecie w nim porywy ducha, i nie pójdzie on nigdy drogą górną, podnioslejszego obowiązku.

Smiles powtarza tu raz jeszcze, że u ogniska domowego uczy się człowiek obowiązku, a powtarza to ze względu na wychowanie. Dziecko przejmując wyobrażenia i pojęcia otoczenia swego, uczy się pod wpływem wychowawców swoich wyrabiać wolę, i trzeba dodać do tego, aby nauczyło się czuć nad sobą, spełniać powinność, dążyć zatem do szczęścia, opartego na dobrem. Charakter nasz jest to ukształtowana nasza wola; to, co nazywamy wolną wolą, wolą silną, jest poprostu stałością, wytrwałością, tęgością ducha. Jeżeli przecież nie będzie to podparte wyższem, prawem życia pojęciem, moc woli stanie się tylko środkiem do złego: i tak powstają wielcy zbrodniarze, despoti i tyrani ludzkości. Silna wola, złączona z ukochaniem cnoty, wydaje dopiero szlachetny typ człowieka, i ten poddaje wolę swoją obowiązkowi, a nie uginając się pod jarzmem zdań ludzkich, sam nadaje prawa towarzystwu i kieruje nim przez opinią, dając poparcie temu, co dobre a nieśmiałe lub przygniecione, strącając z nieprawnie zajmowanej wysokości małość i lichosć. Taki człowiek czyni dobrze na wielką skalę, bo krzepi nadzieje uczciwe, wspomaga zamiary szlachetne, i nierazko jeden człowiek mężny wywiera wpływ zbawienny na cały naród, podnosząc w nim wysoko sztandar cnoty i pragnień wyższych.

Pomiędzy dobrymi a złymi ludźmi silnej woli znajdują się całe rzesze słabych, chwiejnych, niezdolnych ukochać mocno cnotę i obowiązek, ani rzucić się śmiało do złego. Duchy takich niocości naginają się pod prądem wyobrażeń panujących to w tę, to w ową stronę, nie znając co zapal, co ofiara, co wielkie uniesienie serca lub umysłu: istoty bierne, obojętne w gruncie rzeczy na wszystko, co nie dotyczy ich osobiście, niemające też nigdy tych słynnych rozkoszy, tych słodkich uciech, jakie daje spełniony obowiązek, zwycięstwo dobrego nad złem, podniesienie się zasady szlachetnej nad niską, lichą, małoduszną. Takie osobistości tworzą przecież wszędzie ten tłum zbity, który stanowi podkład społeczeństwa i dla szczęścia, dla dobra narodów wychowanie powinno zwrócić pilną uwagę na wyrabianie, na wzmocnienie woli w młodzieży. Nic więcej nie podnosi moralności publicznej, nic nie toruje tak dróg prawdy, jak zwiększona liczba ludzi z mocnym, stałym charakterem, co przecież nie przychodzi jeszcze z wyższem wykształceniem umysłowem. Locke pisze, że pierwszy lord Shaftesbury zwrócił uwagę jego na ten fakt i oświecił go pod tym względem. Mądrość — powiedział mu — nietylko mieszka w głowie, ile w sercu i to nie przez brak wiedzy, ale przez przewrotność woli czyn ludzkie tak są pełne szaleństwa i nieporządku moralnego. Wiedza, to jakgdyby weksel, wydany na czyn jakiś: wola musi działać w kierunku odpowiadającym duchowi naszemu i wtedy-to dopiero rozwija się akcja, wtedy myśl wspólna z wiadomościami naszymi wciela się w życie. Nauka sama, sam zbiór wiedzy, nie ma takiego wpływu na życie, jak to przypuszcza wielu, nie prowadzi wprost ani do dobrego, ani do szczęścia, a nawet często daje nam tylko pychę i odbiera potrzebną duchowi pokorę. Ludzi nie można tak dźwigać ku górze gromadnie, jak w pewnych geologicznych stanach ziemi powstawały wyżyny alpejskie. Jedność wewnętrzna musi tu być utrzymana i tylko przez podniesienie osobistości jednostek, można otrzymać podniesienie tłumów. Nauczyciele i mówcy odzywają się

do tych tłumów zewnątrz; trzeba przecież, aby przemawiał do nich głos, idący z ich wnętrza. Szkoła sama nie da ludziom moralności, sama wieża o dobrem, w umysł przez pamięć wprowadzona, nie pomoże, jeżeli nie będą z nią współdziałały siły charakteru i uczucia, jeżeli nie będzie do pomocy panowania nad sobą, wzruszeń woli szlachetnych, zapala, porywów wyobraźni, tego wszystkiego wreszcie, co daje charakterowi moc i energią. A tego trzeba się młodzi uczyć tylko w domu i w odpowiedniej chwili czasu, jest bowiem pora pewna, w której człowiek zdolny jest szczególnie do nabywania zasad, do opanowania namiętności, do urobienia tak przekonań, aby potem oddziaływały przez wolę na czyny przyszłego życia.

Jeżeli ognisko rodzinne dać tego młodzieńcowi nie może, jeżeli domem nie rządzą uczciwe zasady, a życie wiedzie się tam płochy lub nędznie, to i szkoła nie zdoła zdobyć nic więcej nad posłuszeństwo i karność. Domowe wpływy wsiewają tylko w dusze to, co tam ma być moralnie; z gruntu rodzinnego domu wyrastają jedynie cnoty: tylko przykłady w domu widziane, okoliczności domowego pożycia wychowują ludzi.

Młodość powinna słuchać najwyżej powag rodzinnego swego domu i rość w mądrości od rodziców nabywanej. Niema wychowania bez posłuszeństwa, bo bez posłuszeństwa niema kształcenia się. Religia tu powinna być szczeniowa w młode dusze; przez nią i wspólnie z jej zasadami powinno tam wstąpić i zamieszkać w sercu uczucie obowiązku, ofiary, miłości bliźniego, cnót i myśli podniosłych. Przecież rodzice nie mogą widzieć w dziecku tylko materiału, dającego się urabiać dowolnie; indywidualność człowieka powinna być uszanowana już w dzieciństwie najmniejszej. Smiles przytacza biskupa Dupanloup i rozumne pod tym względem jego poglądy na wychowanie i naturę ludzką. Wszak celem wychowania jest, wyrobić przez posłuszeństwo silne uczucie obowiązku, wszczepić te cnoty które utwierdzają silną wolę w dążeniu ku dobremu; nie zabić przytem, nie przygnieść, nie wypaczyć indywidualności — oto cel wychowania. Im prędzej dziecko będzie zdolne rządzić się samo prawem, istniejącem w jego głębi, tem wcześniej wychowanie zrobiło z niego człowieka, co znaczy, że było to wychowanie dobrze prowadzone i skutecznie działające.

Praca wychowuje również ludzi; praca szlachetna, szlachetnie podejmowana. Kształci i podnosi o tyle, o ile próżniactwo rozleniwia i psuje tak duszę, jak ciało. Sumienie zasypia wtedy, bo nie wyrabiają się siły, na których się wspiera i cała istota zniża się i maleje zwolna przez brak ożywczej działalności. Każdy powinien mieć jakieś obrane zajęcie, pracę, którejby się poświęcił. Zdaniem Carlyle'a najsłabsza istota, skupiając się na jeden jakiś przedmiot, zdolna jest coś wytworzyć, gdy tymczasem najmocniejsi, gdy rozpraszają się na wszystkie strony, nie dokonają niczego.

(Dalszy ciąg nastąpi)

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Ludmiła miała dwa pokoiki bardzo skromne w oficynie i mały przedpokój. Meble, niegdys wyrzucone z pałacu, stare, trochę połamane, niewiele je zdobiły; lecz trochę pamiątek wywiezionych z Brzegów, wiele gustu i umiejętności przyozdobienia zrobiło z nich bardzo ładnie schronienie.

Na ścianach wisały szkice i obrazki, po większej części starego nauczyciela Minkiewicza i inne ocalone rysunki, prawdziwie artystycznej wartości. Ludmiła też zabrała nikogo nie nęcące teki z rysunkami, albumy, akwarelle, których jej zdroszczono tutaj. Hr. Zygmunt sam był dyllentem, i choć powtarzał niemieckie:

Ein Dilletant ist ein Mann.
Der findet seine Freude d'ran.
Das machen was er nicht kann—

nie zrażało go to od próbowania sił swoich. Zawsze słyszał o talencie Ludmiły, zmusił ją niemal do pokazania przywiezionych obrazów.

Celina, która oprócz jednego Ajaxa kredą i kwiatka kolorami, nie malowała nigdy nic, a na muzykę swą, hrabiego zwabić nie mogła — gniewała się na Ludmiłę.

Niemogąc malować dla braku miejsca i może nawet ochoty, Ludmiła rysowała ranki całe. Śniadania przynoszono jej do oficyny. Nie wychodziła aż na obiad, a po nim wracała do oficyny, znowu aż do herbaty. Czas między nią a wieczorą, zmuszoną była przemęczyć się w salonie. Naówczas albo brała książkę, lub uchodziła do kątki, a po wieczorze, jak mogła najprędzej, dawała dobranoc i odchodziła do siebie.

Lecz i to uchodzenie widoczne od towarzystwa, choć dogadzało hrabinie, nie było jej do smaku. Rada się jej pozbywała, lecz pragnęła to czynić sama, a nie widzieć jej samowolnie unikającej wszystkich. W ogóle w postępowaniu sieroty; hr. Alfonsyna znajdowała każdy krok podstępny i oburzającym. Nie mówiły prawie do siebie, chociaż stryjka nie okazywała jej jawnie nic nad przesadzoną grzeczność.

Czasem, przy mężu, posuwała ją do tego stopnia, iż Kanty, który wiedział, co mieszkało w jej sercu, czerwienił się i zżymał.

Celina znowu szydersko prawiała głośno o wyższości kuzynki, o jej talentach, o piękności, tak, iż równie ojca niecierpliwiała.

Stosunki z dniem każdym bardziej się naprężyły, i groźnego coś było w powietrzu. Poczciwy, ale niedołężny hr. Kanty martwił się, a zaradzić temu nieumiejąc, naostatek dla uniknięcia, jak mówił, eskandry, zaczął medytować już nad projektem Kanoniczek.

Szło o to, aby Ludmiłę do wypadku przygotować. Nie umiał się wziąć, nie miał odwagi. Potniał i wzdychał.

Wspomnienie o tem sierocie, znaczyło, chcieć się jej ztąd pozbyć. Myśl sama popelnienia takiej niedelikatności względem synowicy — oburzała go.

Ciągnęło się więc dalej wszystko, jak od pierwszego dnia poczęło.

Virey, która przy wyjeździe była rozczuloną, w drodze bardzo przyjacielską, za przybyciem na miejsce ostygła zupełnie i widocznie unikała bliższych z Ludmiłą stosunków. Pojmując zależność jej i przyczynę tej zmiany, sierota nie miała jej nawet tego za złe.

Głęboko jeszcze własnym żalem po stracie ojca przejęta, przemyślając nad tem, co ma począć z sobą, pracując zresztą, Ludmiła, choć przeczuwała co się w koło niej działo, choć instynkt ją ostrzegał — o wielu rzeczach nie wiedziała, nie dostrzegała wielu. Dla wszystkich była uprzejmą, lecz nie próbowała się zbliżać, nawet do Celiny, która ją odrazu zraziła chłodem.

Zyla więc sama w sobie i tak osamotniona, jak tylko być mogła wśród otaczającego ją gwaru.

Hr. Zygmunt był dla niej zjawiskiem miłym i sympatycznym, ale wiedząc już wprzód, jakie na niego miano projekta, starała się dlań być jak najzimniejszą. On był prawie natrętnym, a z takim szacunkiem i delikatnością usiłował zbliżyć się do niej, że częstokroć grzeczność nie dozwalała go odtrącić.

Ponieważ Ludmiła najczęściej siedziała w kątku i opadał, gdy hr. Zygmunt zbliżał się do niej i rozpoczynał rozmowę, ciekawa hrabina, gniewna Cesia nie mogły nawet jej podsłuchać. Zgadywały ją po twarzach, domyslały się, tłómaczyły fałszywie i gniewały okrutnie.

Tymczasem Julek gorzał. List jego dojrzewał, na płomiennem sercu leżąc, i już dwa razy przepi-

sywany, zbliżał się do ostatecznego wykończenia. Buczyński wiedział o nim, ale pochwycić go nie mógł. Nieumiejąc już sobie radzić, pocąc się i męcząc, a przewidując, że gdy poselstwo to pójdzie do officyn i wyda się, to na niego spadnie odpowiedzialność za nie cała, heroicznym uczynił postanowienie: wypowiedzenia tego kazusu przed matką.

Kilka razy już w ten sposób potrafił zapobiedz popelnieniu niedorzeczności przez ucznia.

Buczyński na pierwszym piętze ze swym wychowawcą, a tenże Buczyński na dole z rodzicami jego: były to dwie zupełnie różne osoby. Hrabstwo oboje widzieli w nim człowieka poważnego, surowego, mającego pewną władzę nad Julkiem; znajdowali go sztywnym, nudnym, ale to były przymioty, jakoby od stanu nieodłączne. Julek zaś, znający może różne słabostki Buczyńskiego, których się na dole nie domyslało, obchodził się z nim bez ceremonii i nie miał go za boże stworzenie. Śmiał się, przedrwiwał, kuksał. Wobec rodziców zaś Julek udawał dlań poszanowanie, aby, uchowaj Boże, nie zmieniono go na gorszą dokukę.

Z wielkim sprytem pedagog, ile razy mu ucznia wypadało oskarżać przed matką, robił to w ten sposób, aby ona niby nic od niego, ale z boku się dowiadywała o tem, co donosił. Dochowywano mu tajemnicy.

I tym razem obrachował się tak Buczyński, że niepostrzeżony przez Julka, dostał się do gabinetu pani. Wiedziała ona, co takie przybycie oznaczało. Powitała, wzdychając.

— No, cóż ten Julek zrobił znowu?

— Jasnie wielmożna hrabina daruje, ale obowiązek prowadzącego, w którym położono zaufanie... Serce się ścisza, lecz sumienie przede wszystkim.

— Wstęp ten zasępił czoło matki.

— Cóż to takiego?

— Zwracałem już uwagę pani hrabiny na różne wybryki p. Juliana, w stosunkach z pięcią żeńską.

Hrabina zlekka poruszyła ramionami.

— To dzieciństwo! — szepnęła. Wielu rzeczy, panie Buczyński, lepiej jest niewidzieć.

— Tak, bezwątpienia — podchwycił pedagog — i ja zalecouego mi systematu się trzymam. Patrząc przez szpary. Tu jednak czułbym się opieszłym i gnuśnym, gdybym nie doniósł.

Panu Julianowi formalnie głowę zawróciła panina Ludmiła.

Zatrzymał się trochę — hrabina czekała na ciąg dalszy.

— Pisze listy! — dodał Buczyński.

— A! a! — zawołała hrabina. — Cóż to? i ona mu odpisuje?

— Tego nie wiem, ale że pisze, że przepisuje, że po nocy nad tem psuje oczy — miałem dowody.

— Masz je?! — żywo zawołała hrabina.

Buczyński począł szukać w kieszeni, w której miał ułamek brulionu. Hrabina wyrwała mu go z rąk i czytała chciwie. List był ogniem pisany, ale, co się miłosnym epistołom zdarza, bez najmniejszego sensu. Uśmiechała się, ruszając ramionami.

— Niech-że jasnie wielmożna pani zlituje się i nie zdradzi mnie — rzekł, składając ręce, Buczyński. Właściwie ja sam powinienem być go skarcić, lecz nie chcę dlatego, ażeby się nie wstydził. Pani hrabina jako matka...

— List ten był wysłany? — zapytała żywo p. Alfonsyna.

— Tego ja z pewnością nie wiem — rzekł pedagog — lecz mógł być, mógł być.

— Dobrze — zostaw mi pan brulion, powiem, że mi go służący oddał.

Skloniła głowę; Buczyński nisko się zgiał i wyszedł na palcach. Wszedł na górę, jak niewinny baranek, i siadłszy na łóżku, bo miał obyczaj studentki siedzenia na nim, nałożył sobie fajkę.

Hrabina natychmiast po męża posłała

Jan Kanty zawsze był niezmiernie zajęty, choć nigdy nic nie robił. Gdy był sam, zasiadał w fotelu, zapalał cygaro, patrzył w sufit i o czemś myślał. Żeby go kto jednak zapytał: o czem miano wicie? nie mógłby być odpowiedzieć. Myśli jego zwolna sobie chodziły jak pijane, odbijanego; to jedna, to druga chwilę go zajmowała. Bawiła go

ich rozmaitość. Brał sobie różne temata i puszczał je, jak kółka z dymu.

Czasem taksamo siadał w stajni i, wpatrując się w konie, także o czemś dumał. Niekiedy w ogrodzie napadało go to rozmyślanie głębokie. Nie lubił, gdy mu je przerywano. Ażeby zaś mieć widomy pretext — że jest zajęty, brał w rękę książkę albo gazetę, wlepił w nie oczy i tak siedział godzinami w błogiem marzeniu.

Nigdy mu się nie zdarzało o jednej rzeczy medytować długo; było to właściwością tych jego dum, że w nich ponowała największa i najniespodziewańska rozmaitość. Zaczynał, na przykład, myśleć o dzieciach: wnet mienił je na konie, potem wpadało coś gospodarskiego, wspomnienie młodości, uwagi nad płamą na ścianie, badanie ruchu much latających po pokoju, przymioty wina wypitego przed laty kilku i t. p.

Snuło się to nieprzerwanym wątkiem, tak przyjemnie, że tych chwil dumania, hrabia-by był na najmiłsze towarzystwo nie pomieniał. Czasem nawet, wśród ludzi, wśród rozmowy, zatapiał się nagle w taką medytacją, i gdy go kto z niej budził, nie wiedział, co się w koło niego działo.

Właśnie gdy posłaniec hrabiny wezwał go do niej, Kanty był w takim uniesieniu błogiem, i aż syknął, tak mu się go przerwać nie chciało.

— Powiedz, że zaraz przyjdę — odparł niedbale — i jeszcze sobie chciał chwileczkę pozwolić.

Lecz nim się zebrał być posłusznym, hrabina, niecierpliwa, wpadła ze świstkiem w rękę.

Nic tak nie ocalało skutecznie hrabiego, jak głos żony.

Wstał śpiesznie.

— Cóż to, duszeczko? coś widzę pilnego bardzo!

Pani Alfonsyna drzwi zamknęła i siadła. Była zadychana.

— Patrzaj-że, co znowu za historia z tą Ludmiłą!

— Coś nowego?

— Inowego i — wcale nie miłego — poczęła pani: — Nie dość jej było Zygmunta Celinie zbałamucić, w odwodzie chce mieć Julka.

— Cóż znowu? co! to smarkacz! — zawołał hrabia.

— A! słiczny smarkacz! patrzaj jakie do niej listy pisze! — czytaj.

— I ona od niego przyjmuje — podchwycił Kanty zdziwiony.

— Już ciż, gdyby nie przyjmowała, nie pisały, a słyszę, po nocach codzień śpi.

— To nie może być! — krzyknął hrabia oburzony — żeby ona od niego listy przyjmowała, ja ci powiadam, być — niemoże.

Hrabina się zarumieniła.

— Masz przecie dowód w rękę.

Hrabia poruszony wielce, zadzwonił, nim go żona mogła powstrzymać.

— Wołać mi tu p. Juliana! — rzekł do służącego.

I począł się przechadzać po pokoju, trąc włosy. Hrabina, widząc, że wziął mocno do serca, ucichła.

W chwilę potem, biegiem, z łoskotem wpadł Julek. Spojrzawszy na twarz rodziców, poznał, że się tu święci coś niedobrego i zmieszał się.

— Co to jest? — spytał groźnie ojciec, pokazując mu papier.

Julian spłonął jak wiśnia.

— Cóż ma być? — odparł — tłómaczenie listów — Adelarda do Heloizy — z francuzkiego.

— A! — zawołał hrabia — czy tylko nie Juliana do Ludmiły? Mów prawdę — pisałeś do niej.

— Ja! — nigdy w świecie.

— A ja wiem, żeś pisał! — przerwała matka — i kłamstwa nie lubię.

Julek zamilkł, a po namyśle rzekł stanowczo:

— Nie pisałem.

Ojciec zaczynał już na stronę syna się przechylać.

— Dlaczegoż mnie upewniono, żeś pisał?

— Skłamano — rzekł Julian — proszę się zapytać panny Ludmiły.

Ojciec zukosa spoglądał na hrabinę.

— Któż mamę mógł upewnić o tem, co nie było? — spytał syn, ośmielając się.

— Kto? z tego ja ci się spowiadać nie potrzebuję — ale wiem, że po nocach ciągle listy układasz.

— To już chyba Buczyński — przerwał Julek z gniewem — ale jemu się w głowie pomieszało,

Matka wstała poważna i surowa.

— Proszę mi się nie wyklamywać, — rzekła groźnie. Ja co wiem, to wiem pewno i dobrze.

Pogroziła palcem i stuknąwszy drzwiami wyszła.

Ojciec nie czynił synowi żadnych wymówek, spojrzawszy nań zukosa i zgasłe zapalił cygaro. Julek powrócił na górę do Buczyńskiego, zły, ale co zaszło między nimi i jak się skończyło, nikt nie wiedział. Stosunki ucznia i nauczyciela pozostały niezmiennymi.

Rzecz zdawała się ostatecznie rozstrzygniętą i bez dalszych następstw żadnych. Nawet hrabina nie śmiała wystąpić z niczem. Nie mogła jednak wytrzymać i w chwili podrażnienia wyśpiewała to Celinie, która i tak już dosyć miała powodów nienawidzenia kuzynki, a mało środków dokuczenia jej. Celina sobie skrzętnie historią listu zanotowała.

W obejściu się z Ludmiłą była niby grzeczną, poufałą i zawsze pełną dla niej przesadzonej admiracji.

Przychodząc do niej unosiła się nad rysunkami, wychwalała jej pracowitość, uzalając się nad sobą, że była próżniaczką i t. p.

Następnego dnia zrana pociągnęła do officyny z całym wcześniej ułożonym planikiem.

Po przywitaniu zasiadła, majestatycznie i nie dbała rozparta, w fotelu i ze zwykłego tematu, wdychając, wielbiła Ludmiłę, która czuła w tem fałsz i milcząca słuchała ze spuszczonej oczami.

— Ty jesteś — bo we wszystkim szczęśliwą! — dodała.

— Moja Celinko! ja! szczęśliwą! — odparła siostra, — jakież to gorzkie szyderstwo!

— A! nie, nie! przynajmniej w tem życiu naszym towarzyskim, powszednim, ty istotnie masz szczęście, wszystkie serca zdobywasz.

Ludmiła spojrzała tylko na nią.

— Już ciż to wszyscy widzą, — mówiła dalej Cesia, że hrabia Zygmunt tobą jest nadzwyczaj zajęty...

— Tylko ja nie widzę tego, Cesi moja, — odpowiedziała Ludmiła, — i gdyby istotnie to okazywał, potrafiłabym mu dać uczuć, że niewłaściwy uczynił wybór...

— Hr. Zygmunt ma prawo czynić wybór, jaki zechce, — przerwała Celina, — ale, oprócz niego... cha! cha! — zaczęła się śmiać, — wiesz, że Julkowi głowę zawróciłaś. Proszę cię, *entre nous*, czy to prawda, że on do ciebie strzelił listy pisuje?

Ludmiła porwała się, jak piorunem rażona, z twarzy jej zdawała się krew tryskać, oczy ciskały pioruny.

— Pan Julian! do mnie! — krzyknęła oburzona.

Cesia zmiarkowała, że zaszła zadaleko i rzuciła się jej na szyję.

— Któż to splótł te bajkę! — wołała obrażona Ludmiła, drżąc od gniewu cała.

Cesia chciała to w żart obrócić, załagodzić; lecz Ludmiła się lzy puściły z oczów i nie jej uspokoić nie mogło. A że czas obiadowy nadchodził i hrabianka lękała się, ażeby Ludmiła nie wyszła z oczyma zapłakanymi, użyła więc wszelkich środków, aby ją uprosić o milczenie, obwinając się sama o łatwowierność i plotkarstwo.

Zatarło się to pozornie, sierota nic nie dała poznać po sobie; lecz twarz jej, postępowanie, mowa zmieniły się mimowolnie i smutek głębszy jeszcze okrył jej oblicze, już i tak przedtem zbolale.

Celina opowiedziała matce swą niezręczną rozmowę i gniew Ludmiły. Nie ulegało wątpliwości, że Julek, jeśli listy pisał, posyłać ich nie śmiał. Jednego wieczora, widząc tak synowicę w kątek schowaną, milczącą, zasepioną i korzystając z tego, że hr. Alfonsyna wyszła na chwilę, zbliżył się do niej stryj Kanty.

On jeden dobrze jej życzył i miał nad nią politywanie, lecz, na nieszczęście, w domu tak jak nic nie znaczył, a poza domem także niewiele. Dobremu sercu biedna głowa, po której snuły się myśli błędne jak nici pajęczce, w pomoc przyjsć nie mogła.

— Co-bo ty tak, moja Ludmisiu, po kątach się zaszysz i taka jesteś smutna? Czy ci tak źle u nas?

— Stryju kochany, — żywo odezwała się sierota. Z łaski waszej jest mi tak dobrze jak tyłko być może, lecz nie mamże [prawa żalobą] moją się smuć?

— Wiecznie jednak żaloba trwać nie może, trzeba koniecznie się ożywić, rozruszać, — rzekł hrabia.

Ludmiła spojrzała i uśmiechnęła się, jakby przez posłuszeństwo.

Hrabia chciał w jakiś bardzo przebiegły sposób zajechać do Kanoniczek, niby do nich nie jadąc, ale w głowie próżno szukał obrotu.

— Ja nie wiem, — odezwał się, — jak wy tam u siebie żyliście w Brzegach, aleś ty może do tego naszego sposobu życia nieprzyzwyczajona.

— Ale ja się z każdym zgodzić potrafię, — odpowiedziała Ludmiła, — niech mi stryj wierzy.

— Byłaś może do większej samotności przyzwyczajoną? — wybąknął nieśmiało.

— Mam przecie część dnia zupełnie wolną, — cicho odparła sierota, już przeczuwając, że coś się przygotowywać musi. Serce jej uderzyło, duma wzdrygnęła się.

Hrabia szukał w głowie przejścia i lękał się zdradzić z tem, co miał na ustach.

— Ja-bym, — odezwał się, — w miarę sił moich rad ci tak urządzić życie, abys jaknajmniej czuła swoje sieroctwo.

Ludmiła schyliła się do pocałowania jego ręki, hrabia się poruszył.

— Niech stryj mówi otwarcie, — odezwała się. — Ja nie mam doświadczenia, przyjąłabym chętnie jego radę, znając dobre serce dla mnie.

— Radę! radę! — powtórzył hrabia. — Ja-bo właściwie nie wiem co radzić. Mam najlepsze chęci, a nie umiem odgadnąć twoich życzeń.

— Jak na teraz, — odparła chłodno Ludmiła, — ograniczają się one do pragnienia trochę spacerunku, dopóki serce nie odboleje, a myśli się nie uporządkują.

— Masz na potem jakie projekta? — zapytał stryj.

— Bardzo wiele i różnych, — odezwała się Ludmiła, — ale te nie są dojrzałe, zmieniają się z dnia na dzień: niema co o nich mówić.

Parę lez przedko otartych i westchnienie mowę jej przerwało. Hrabia, który próżno szukał jeszcze zajazdu do Kanoniczek, potarł głowę i prawie zwątpił, żeby przyzwoił do nich znaleźć drogę.

— Zatem, — rzekł, — pomówimy o tem inną razą. Tylko proszę nie być tak smutną.

Ludmiła z całej rozmowy to tylko wyniosła, iż stryj musiał coś mieć na myśli, z czem się nie umiał wygadać. Było to jej instynktowem przekonaniem, przecuciem. Powiedziała sobie, że się jej chcą ztąd pozbyć.

Mówiliśmy już że Virey, która z nią poufała była w drodze, teraz od niej stroniła. Sierota i to rozumiała dobrze i tłómaczyła sobie niechęcią, jaką obudzała. Wistocie było to dla niej skazówką. Virey nie obawiała się zbliżać do niej, gdyby narazić się przez to hrabinie i jej córce nie lękała.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYZKIE

Opportunizm i Intransigenty. — Na czyją stronę przeważa się dziś szala? — Porażka Rocheforta i spółki. — Emancypacja kobiet. — W jakim dziś położeniu znajduje się ta kwestya we Francji? — Główne promotorki ruchu: L. Michel, pani Minck, Hubertyna Aucler. — Książka Dumasa w tej sprawie: *Les femmes qui tuent et les femmes qui votent*. — Jego sprytna klasyfikacja Aspirantek do stanu wolności. — Odpowiedź E. Girardina. — Śmierć pana Charles'a; kilka osobistych wspomnień. — Falszeryz starych dokumentów. — Straty w Instytucie Francuzkim. — Śmierć pp. Rebera i de Sauley. — Emil Girardin, jako herszt szpiegów pruskich w Paryżu. — Obchody pamiątkowe w Besançon we Francji i w Bolonii we Włoszech, na cześć W. Hugo i Adama Mickiewicza.

Paryż, w Grudniu 1880 r.

(Dokończenie).

Nie można zaprzeczyć, że w tem wszystkim jest wiele prawdy; jedno tylko dodać należy: że

w tych zarzutach czynionych kobietom co do ich słabej strony, we względzie łatwego przystępu dla pokus, nie uwzględniono dotąd dosyć wpływów, jakie może wywierać na ich sąd, na ich sprawiedliwość, na ich nieskazitelność polityczną, miłość macierzyńska. A przecież to jest w kobiecie najwyższa, najpiękniejsza, najlepsza strona ich serca. Co się stać może w danej chwili, kiedy wobec sędziego, posła, lub ministra, stanie własne, ukochane dziecko? Widzieliśmy ojców potępiających na śmierć synów; aleśmy nie widzieli matki w tej roli. Należałoby dotknąć się tej kwestyi.

Co do kandydatur kobiecych, tak pisze panna Michel w *La Révolution sociale*:

„Nie mogę powstawać przeciw kandydaturze kobiet, która ma służyć za dowód równości mężczyzny i kobiet; zmuszona jednak jestem, wobec wielkiej wagi okoliczności dzisiejszych, powtórzyć wam raz jeszcze, że kobiety nie powinny oddzielać swej sprawy od sprawy mężów (hommes), ale że powinny pozostać jako część wojująca wielkiej armii rewolucyjnej“.

„Kandydatury kobiece zostały podniesione: to jest dostateczne dla stwierdzenia zasady; a ponieważ te kandydatury nie przyjdą do skutku, a choćby nawet i przysły do skutku, to wcale rzeczy nie zmieniają — zmuszoną więc jestem, co do mnie, prosić moich przyjaciół o wykreślenie mojego nazwiska z tej listy“.

Książka Alexandra Dumasa syna, jak łatwo osądzić, nie ma wcale takiego znaczenia, jakiego niejeden mógł się spodziewać po pierwszych reklamach księgarsko-literackich. Nie jest to ani pamflet, ani rozprawa, bo jej braknie gwałtownej energii pierwszego, a głębszego zastanowienia i sądu drugiej. Jest to jakby artykuł z przeglądu, gdzie autor, śpiesząc do celu, nie żałuje na drodze swej kwiatów retoryki i ponętnych sofizmów, aby tylko olśnić, zachwycić do żywego i przedewszystkiem do wrażliwej wyobraźni czytelników swych przemówić. Cała książka jest dziełem raczej temperamentu, niż rozumu.

Odpowiedź na książkę Dumasa odrazu się zjawiała, bo głośne nazwisko autora wywołuje tu zawsze nieuchronny wystrzał z kałamarza: ludzie obrotni nie zaniedbują nigdy sposobności do przypomnienia się krajowi, że i oni także coś mogą i coś umieją.

Tymczasem nazwisko Dumasa podrażniło p. Emila Girardin, a pomysł odpowiedzi, niby temat do konkursu, podały staremu fechtmistrzowi, panie o błękitnych pończoszках, i republikańskie egerye od mętnych źródeł w literackim salonie, zawsze ponętnej, dyrektorki *Nowego przeglądu*. Tam też wydrukowaną została ta odpowiedź pod tytułem: *Równa mężczyźnie (Légale de l'homme)*. Stary, zmęczony dziennikarz, człowiek o jednej idei na dzień, jak go nazywano ongi; widocznie użytem i w wystrzępionem piórem pisał tę odpowiedź. Jest to zbiór komunalów; po każdym peryodzie czuje człowiek, że poczciwe, dychawiczne konisko, którego dosiadł stary ten Don Kichot, nie ma nic wspólnego z owym pegazem, na którym się haśało pomiędzy 1838 a 1848 r. Dziś biegnie się, niby biegnie, ale znać, że łydki za każdym podrywem mdleją! Ta ciepła woda Girardina musiała sprawić przewidziany skutek — ciepłej wody.... Położmy krzyżyk na Emilu i śpieszmy dalej.

Od żywych i wojujących przejdźmy do wielkich umarłych — nie dla kandydatury wszakże. Nauka, w najlepszym tego słowa znaczeniu, poniosła niepowrotną stratę we Francji. Kilka dni temu umarł w Paryżu, w 87 roku życia, dziekan wydziału geometryi, Michał Chasles, członek Akademii Nauk. Zmarły był również członkiem wszystkich prawie Akademii świata. Geometrya miała w nim swego przedstawiciela, w najwyższym i najsubtelniejszym swym znaczeniu; jemu-to ona zawdzięcza swoją najnowszą i najdokładniejszą metodę.

Pierwszym jego dziełem, które ściągnęło nań uwagę powszechną, był: *Rzut oka historyczny na początek i rozwój metod w geometryi* (Aperçu historique sur l'origine et le développement des méthodes en géométrie).

Wkrótce powołany na katedrę paryżką, Chasles pozostał na niej, jako jeden z luminarzy

uniwersytetu, do samej śmierci. Prace jego w matematyce wyższej i w geometryi używają najwyższej powagi, a ta inteligencya potężna i wyższa zdawała się z każdym dniem odmładzać. Siedmdziesiąt lat mając, Chasles wynalazł ową znakomitą teorią znaną w świecie uczoneym, pod nazwiskiem: „Teoryi charakterystyk“, którą Towarzystwo Królewskie w Londynie uwieńczyło najwyższą swoją nagrodą, dając wynalazcy medal, tak zwany Copley'a.

Niezmiernie dobroczynny i miłośnierny, był Chasles prawdziwą opatrnością biednych w swojej dzielnicy. Uprzejmy, niesłuchanie słodki charakter zjednywał mu szacunek i miłość powszechną. I właśnie z powodu tych cnót i tych zalet doznał dziwniej przygody w swym życiu. Wypadek ten miał niezmierny rozgłos w swym czasie. Znana dobroczynność Chasles'a, wiadoma powszechnie skwapliwość w niesieniu pomocy biednym, sprowadzała tysiące nieszczęśliwych przed prógi jego mieszkania. Otóż w liczbie tych potrzebujących znalazł się człowiek, który przynaję się, iż był rodem z Chartres, w pobliżu którego, w Epéron, rodził się p. Chasles w 1793 r. żalił mu się na niepodobienstwo utrzymania się ze swych prac literackich i prosił go o podanie pomocnej ręki. Dobroczynny mędrzec nie odmówił biedakowi pomocy, raz i drugi, tak że ztąd zawiązał się pewien rodzaj znajomości; a że biedak okazał dość wielkie obeznanie się ze starymi dokumentami i poszukiwaniami w archiwach, prowincjonalnych szczególnie, przyszło do tego, że p. Chasles zwierzył mu się, iż w tej chwili był właśnie na drodze ważnych poszukiwań, dotyczących się odkryć i wskazówek Pascala, mylnie przypisywanych późniejszym i obcym uczonym. „Są, mówił, wzmianki w pismach współczesnych o tem, jest nawet powoływanie się na list Pascala; ale gdzie znaleźć ten autentyczny i wszystko rozstrzygający dowód w tak ważnej sprawie? Po pewnym przeciągu czasu biedny archiwista zjawił się znowu przed swoim dobroczyńcą, ale zjawił się, przynosząc mu tak ważny dokument: list oryginalny Pascala — autentyczny. To odkrycie stało się nierozzerwanem ogniwem stosunków najściślejszych pomiędzy P. Chaslesem i wałęsającym się antykwaryuszem. Człowiek ten, jakgdyby posiadał różdżkę Aarona: po tym pierwszym liście Pascala zjawily się dalsze, wszystkie prawdziwe. Po Pascalu przysłała kolej na Galileusza, Michała Anioła, Ludwika XI; słowem cały szereg najrzadszych, najciekawszych autentyków. P. Chasles był w uniesieniu i — ma się rozumieć — hojnie płacił.

Ale tak cudowne odkrycie, i takich skarbów piśmiennictwa, przez indywidualum nieznanie nikomu i wczoraj jeszcze wyciągające rękę z prośbą o jałmużnę, obudziło niejaką wątpliwość uczonych kolegów i przyjaciół P. Chasles'a, którzy mu wyrazili bez ogródki podziwienie co do prawdziwości wynalezionych dokumentów. P. Chasles jednak zupełnie, ślepo ufał uczciwości i wielkiej znajomości rzeczy swojego współnika. Daremnie mu dowodzono, że wszystkie te dokumenta są odpisami drukowanych i znanych już rzeczy; uczony odpowiadał zwycięzko, że to dowodzi, wprost przeciwnie, autentyczności odszukanych rękopism.

Przyszło do tego nareszcie, że ów zręczny szpeleracz, jak dzisiaj p. Schliemann, znajdujący coraz to nowe skarby, wynalazł niesłuchanie ważne archiwum, należące do starej, szlacheckiej rodziny na prowincyi, i które po śmierci ostatniego właściciela było właśnie do nabycia. „Archiwum to, powiadał, posiada jaknajautentyczniejsze białe kruki — jako to: Listy Cezara. Korrespondencyą Heroda z Agryppą, Listy Św. Pawła i t. d. i t. d. a jest w ręku ludzi, nieznających się wcale na wartości rzeczy, i około niego kręją się już Anglicy“.

Po długich targach i wahanii się, bo rzecz chodziła o kilkadziesiąt tysięcy franków, biedny p. Chasles stał się nakoniec właścicielem fałszywych papierów. Rozpoczął się więc proces, ciągnięcia — i nasz łatwowierny uczony musiał przynieść nakoniec, że od pierwszego listu Pascala, aż do ostatniego świstka, wszystko było dziełem fałszerza, ale genialnego prawdziwie, tak bowiem umiał on na-

śladować nie tylko papier, pismo, ale nawet błędy i właściwości stylu i ortografii najodleglejszych czasów.

Instytut Francuzki poniósł w tym czasie wielkie straty w rozmaitych swych akademiach; oprócz Chasles'a zmarli: jeszcze Reber i Sauley. Reber był znakomitym muzykiem i kompozytorem, życie zakończył w domu p. hr. Alexandrowej Branickiej, niegdyś swojej uczennicy, przy ulicy dawniej Abbatucci. Tu na stare lata znalazł gościnny przytułek, ofiarowany i urządzony z tą delikatnością uczucia, które tylko polskie może panie umieją zastosować tak pięknie, do wypadków rzeczywistego życia.

Po Reberze zmarł, nagłą śmiercią, P. de Sauley, znakomity archeolog, numizmatyk i wielki znawca języków wchodnich i historii.

Ale jeżeli tu umarli przemykają się szybko, jak w balladzie Bürgera, to żywi, można powiedzieć, nie zlążą z konia. Niema tu czasu siedzieć za piecem i wygrzewać pleców. Znajdą się zawsze ludzie, co cię wyprowadzą na scenę. Wiecie już o skandalicznych processach de Cisseya, Von Kaulla i t. d. Otóż, zupełnie jak w *Cyruliku Sewilskim*, można zaśpiewać: „La Calumnia è un venticello“. Oto najdziwniejsza awantura, która spotyka — Emila Girardina!

Słynny ten publicysta znany jest nadto całemu światu, abyśmy mieli potrzebę rozpoczynać tu jego biografią. W chwili kiedy gotowała się nieszczęśliwa wojna 1870 — 71 roku, był on jednym z gorących partyzantów wojaczki. Poszedł o zakład z którymś z generałów pruskich, podobno z Vogelem von Falkenstein, o stotysięcy franków, że we dwa miesiące będzie wydawać swój dziennik, pod takim a takim to numerem „Unter den Linden“. Na nieszczęście, tykoko się nie stało przeciwnie, i tykoko jeden z licznych Voglów w Niemczech na bulwarach paryżkich, nie drukował *Neue Preussische Zeitung*. Ten sam Girardin w Operze Wielkiej, w dzień kiedy w Izbie francuzkiej wypowiedziano wojnę Prussom, wstał ze swojego miejsca i na głos zawołał: „Allons! La Marseillaise — A Berlin!“

Otóż ten wysmażony dziennikarz, ten najfrancuziejszy Francuz doczekał się tego, że jakaś pani Graux, to jest dawniejsza pani *Duvergier de Hauranne*, autorka świeżo wyszłej *Popularnej historii Rewolucyi Francuzkiej*, alias *historii dla ludu*, przyjaciółka p. Junga, męża pani von Kaulla, w liście pisanym do p. Laisant, posła Nantejskiego, oskarża formalnie Girardina, że jest naczelnikiem pruskich szpiegów we Francyi! Po rozmaitych przejściach, które tu opuszczam, list ten doszedł do wiadomości oskarżonego, a ten z mównicy w Izbie Poselskiej, do wytłómaczenia się p. Laisanta powołał. Skończyło się wszystko śmiechem i przejściem do porządku dziennego. Ale co za sprawa! Co za rozstrój! Jak to przypomina nasze złote czasy: sprawę Diugrumowej, i inne.

Skończmy pocieszającym widokiem holdów, nieklamanych, swobodnie i serdecznie oddanych, pamięci wielkich poetów. D. 26 grudnia obchodzono w Besançon uroczyste położenie tablicy pamiątkowej, na domu, w którym przyszedł na świat Wiktor Hugo.

Hugo urodził się 26 Lutego 1802 r. (7 Ventôse l'an X. de la République). Ojciec jego, rodem i pochodzeniem z Nancy, służył wojskowo i jako major, czy podpułkownik, konsystował w Besançon, gdzie przyszedł na świat, małeńki i chorobliwy, jak niesie tradycya, Wiktor, dziś jak dąb potężny starzec. — Poeta się wymówił od uczestniczenia obchodzie; ale rada miejska w przytomności delegowanych z ministerium, i w asystencyi całej ludności miasta, oddała hold publiczny, zasłużonemu wieszczowi. Na domu, wystawionym w 1755 r. przez aptekarza Bazatte, zachowano dotąd na pierwszym piętrze pokój, w którym się urodził poeta. Dom ten przy ulicy Wielkiej (Grande rue), pod Nr. 140, należy dziś do p. Wiktora Macée i ma wejście z drugiej strony od placu Rondot-Saint-Quentin. Stosownie do życzenia Wiktora Hugo, na tablicy bronzowej, otoczonej pięknymi arabeskami, następny, ozdobnie wyrwty, umieszczono napis:

Victor Hugo
26 Février 1802.

Kiedy wspominały o tym obchodzie, nie zapominały tego, który miał miejsce d. 28 Listopada w Bolonii we Włoszech. Była to 25-letnia rocznica śmierci naszego wielkiego Adama, a obchodziła ją Akademia Mickiewicza, założona przy uniwersytecie tego miasta, staraniem przyjaciół naszych i wielkiego naszego poety, na czele których znajduje się znakomity starzec, professor uniwersytetu Bolonńskiego, p. Dominik Santagata.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Jakże trudno dobrać pary! komedia w 1 akcie, oryginalnie napisana przez Emer; Nadranem, obrazek sceniczny w 1 akcie, Zygmunta Sarneckiego; Poranek muzyczny, krotchwila w 2-ach aktach, Zofii Mellerowej — wszystkie trzy przedstawione w Teatrze Rozmaitości d. 1 Stycznia r. b. — Ojciec uwieczniony (Le papa du prix d'honneur), krotchwila w 4 aktach, przez pp. Labiche i Barrière, z francuskiego, przedstawiona dnia 7 Stycznia r. b. w Teatrze Małym — Teatr Mały. — Występy panny Rapackiej. — Pani Majeranowska na scenie dramatycznej. — Wznowienie Żydów, Korzeniowskiego, w Teatrze Rozmaitości d. 12 Stycznia r. b.

Wesoło zaczęliśmy rok nowy: od krotchwili, komedji i obrazków; szkoda tylko, żeśmy się na sztuce nowego pisarza dramatycznego, występującego pod pseudonimem Emer, szczerze nudzili. Błahy przedmiot, z pomysłem tysiąc razy już użyty w sztuce, z akcją dzieciinną i nudną, bez dialogu, bez sceniczności jakotako rozumnej i porządnej, bez dowcipu oryginalnego, bez promyka poezyi, nie owiany ani jednym tchnieniem naiwnego, podbijającego humoru: czyż wobec tego wszystkiego nie wolno powiedzieć, że i komedia i wesołość była tylko na afiszu? Całe szczęście nasze, że sztuka jest w 1-ym akcie nie w 2-ych lub 3-ich: nudy byłyby o wiele straszniejszemi a niesmak trudnym do wyrażenia. Stary antykwaryusz Koryolan, dzięki tylko doskonałej grze pana Rapackiego względami niewybrednej publiczności cieszyć się może, i śmiech paradyżu i galeryi jest zasługą artysty, a nie autora. Koryolan zresztą stanowi jedyną postać znośną w tej mieszaninie dobrych chęci i złych uczynków; wszystkie inne to czyste manekiny, poruszane ukrytą nitką, która autorowi nieraz wysuwa się z palców: Zosia nie ma ani żłbła poetyczności, Edmund jest kółkiem, a Malwina melodramatycznie przystrugana, zjawiskiem dziwnym. Wszystko to kręci się naokoło tematu: że dobranie pary do Zosi, respective do Edmunda, zależy, od dobrania pary do filizanki, której podobną kubek w kubek posiada Malwina, ciotka młodzieńca. „Komedia“ Emera z takich postaci i takiej akcji złożona, mogła znaleźć dla siebie deskę zbawienia jedynie tylko w stylu, a gdy styl zawiódł, będzie musiała pograć się w toniach niepamięci. Z tej głębin, w którą ją teraz ściągają ciężar krytyki, nie wybawi jej już nigdy śmiech sfer wyższych w sali teatralnej.

Może talent autora jeszcze się nie wyrobił, może w nim drzemia jakie potęgi ukryte, nieokreślone, a dopiero przez rozwój ogólny ducha zdolność urzeczywistniania się zyskać mające: życzymy tego szczerze autorowi, pragniemy tego dla sztuki, która ma największą ze wszystkich najżywotniejszą doniosłość; ale dziś musimy, choć z żalem, powiedzieć, że Emer do dobrego zamiaru nie umiał dobrać pary, t. j. dobrej komedji; przypuszczając jednak, że autor jest młodym jeszcze człowiekiem, pozwalamy sobie nie rozpaczać o jego przyszłości jako pisarza dramatycznego.

Nad ranem p. Sarneckiego nie powinno się było zjawiać na scenie, która ma obowiązki względem samej siebie i względem publiczności. Sztuczki tę widzieliśmy przed kilku laty, w początkach epoki ogródkowej w Warszawie, w jednym z wędrownych teatrzyków, zdaje się, że w Tivoli; tam było dla obrazka p. Sarneckiego najwłaściwsze miejsce, jeżeli wogóle jest dlań miejsce na tym szerokim świecie. Temat jest tak wyszukanie ślizkim, że go za ledwie w mężkiem towarzystwie opowiedzieć można; temat-to przytem blahy i ubogi pod względem psychologicznym — a co najgorsza, fałszywy. Założeniu brakuje prawdy: prawo sa-

mo w art 6 Kodexu, wylacza takie zastrzeżenia. jakimi bogaty krewny p. Konstantego skrepował swą zamierzoną dopiero wspaniałomyślność, a niema pewno jednej istoty żywej, któraby wobec nagiej obietnicy mogła uleść pobudkom, jakie autorowi spodobalo się wlać w małżonka odrąconej Amelii. Sztuka, nawet w granicach tematu swego, nie ma żadnej wartości: ani delikatnego rysunku i żywego kolorytu w dyalogu, ani dowcipu, ani akcyi, ani obserwacyi — nic, nic. Akcyja ogranicza się do wpadania dwojga służących, za każdym silniejszym odgłosem dochodzącym z pokoju państwa. Spadają więc na podłogę, potrącają się, rozmaite przedmioty, a efekt taki ze sześć razy użyty, w krotchwili nawet niesmacznym być-by musiał. Pan Sarnecki, który umie pisać lepiej, powinienby tę rzecz źle pomyslaną i źle napisaną uznać za nieistniejącą i, jeżeli może, wycofać ze sceny.

Gra artystów (p. Derynżanka „Amelia“, p. Leszczyński „Konstanty“) nie zostawiła nic do życzenia, ale szkoda ich sił na takie zadanie.

Dwuaktowa krotchwila p. Mellerowej ma w sobie dość żywiołów wesołości, stosunkowo jednakże mniej w charakterach, niż w samych położeniach scenicznych. Wiemy, że w tym rodzaju sztuki zwykle ostatnie nad pierwszemi muszą mieć przewagę: krotchwili nie pisze się z poznania i poczucia pewnych objawów i praw natury ludzkiej, ale z chęci napisania czegoś, coby rozśmieszało. Krotchwila nie potrzebuje mieć żadnej tendencji: niech ma tylko granice przyzwoitości, moralności i rozsądku, którychby przekroczyć nie mogła. Akcyja jej nie potrzebuje się opierać na starciu charakterów, które bądźco bądź i w komedji poważnej jest — równie jak w dramacie — niezbędnem. Charaktery same nie potrzebują być głębokimi; rzeźbienie ich jest nietylko zbędnem, ale wręcz szkodliwym: swobodne, lekkim ale wprawnym, wysilenia nie znającym pędzlem, malowanie najzupełniej wystarcza. Krotchwili nie może napisać ten, kto nie pisał poprzednio komedji, t. j. kto nie patrzył w świat okiem satyryka, i tego, co widział, w formy poważnej sztuki dramatycznej nie ujmował. Powinniśmy tu dostrzegać owoce doświadczenia, zniwo życia zebrane przez talent i przetworzone odpowiednio do natury twórczości; ale nam go bezpośrednio autor podawać nie ma prawa. Dla autora krotchwila ma być tylko wypoczynkiem pomiędzy jedną komedją a drugą. Złe w krotchwili być musi; ale powinno być takim, aby mogło ze śmiesznej tylko strony wystąpić. Jeżeli wogóle sztuka dobra, obywając się bez morału, moralną jednak być musi, to w szczególności o krotchwili powiedzieć potrzeba, że ją moralność zabija, a moralność podtrzymuje. Śmiać się można tylko z tego, co ma w sobie istotny żywioł śmieszności, co i w życiu jest śmiesznym, tylko śmieszem, i ani pod topór pogardy nie podpada, ani do anielskich piersi współczucia tulić się nie potrzebuje. Do krotchwili odbiera się człowieka jaknajzewnętrznego: to, co w nim jest na samym wierzchu: tę jego przywarę i tę śmieszność, która w nim nad innemi panuje, i przez to panowanie do jego głębi doprowadzić-by nas mogła, gdybyśmy tam tylko pójść chcieli.

Przeważną rolę w krotchwili mają tak zwane sytuacje, lecz rolę swoją prawowitą mieć muszą także i charaktery. Bez czego niema tragedji, melodramatu, poważnego obrazu życia, komedji, bez tego niema i krotchwili: i ona również potrzebuje odpowiedniego dla siebie człowieka. Dobranie właściwego rodzaju lub stanu natury ludzkiej, do danego rodzaju sztuki — jest najważniejszym piękna i prawdy warunkiem; talenta dramatycznego w umiejętności takiego doboru głównie się przejawiają. Taką umiejętność posiadali: Shakespeare, Molière, Fredro; taką posiadać musi każdy dzisiejszy pisarz, aby dobrze mógł pisać.

W Poranku muzycznym niewiadać charakterów przystosowanych do istoty krotchwili; prawdę mówiąc, krotchwilnemi w sztuce są tylko nad miarę uprzywilejowane dzieci, i Wojłokowa. Koperski i Zenon mogliby znaleźć miejsce w najpoważniejszej komedji. Cała rodzina Ewarystów wcale, ani zaletami, ani przywarami swemi, nie rozśmiesza. De Rosé, jeżeli jest rzeczywiście dyrektorem, to chyba tylko jakiegoś instytutu ideologicznego.

Bogumiła przypomina niejedną postać z melodramatu. Leona, trzymanego od początku do końca w tonie poważnym, nie powstydzilby się żaden najsentymentalniejszy dramat. Uciechę sprawiają tylko: Koperski, Zenon i Wojłokowa; trochę też śmiechu wzbudza niedorostek Waclaw, ale w ogóle dzieciarnia raczej sytuacyami niż charakterami rozśmiesza. Całą krotchwilność sztuki, ściśle biorąc, dźwiga na tęgich barkach swoich Wojłokowa, z puszczy pińskich przez autorkę sprowadzona; gdyby nie było jej i jej miłego drobiazgu, byłoby bardzo mało śmiechu w sztuce, która zarówno przez rodzaj rozgrywających się w niej wypadków, jak i przez liczbę przewagę charakterów, w kleszcze satyry ujętych, komedją jest raczej niż krotchwilą, i autorka chyba tylko dlatego krotchwilą ją nazwała, że czuła jej niedostateczność wobec ideału komedji.

Zakończenie sztuki trzema małżeństwami jest interesujące, rozwiązaniu nadaje żywość, a uczuciu estetycznemu zadowolenie. Radzi jesteśmy, że ta purchawka Mira, przez matkę lekkomyślną (Ewarystową) wychowana na egoistkę i wszelkimi siłami wypychana zamaż, na koszu osiada: a w gruncie poczciwe serca jak Leona i Bogumiły, Zenona i Wojłokowej, Rosego i Pelci, na całe życie — jak konwenans ślubny nakazuje — się jednoczą. Świetność karyery Leonowej, trochę za nadto mechanicznie wstawiona, potrzebna była dla ukarania ambicyi zimnej dziewczyny. Wogóle sztuka ma zawiele jednostajnych efektów, zwłaszcza z dziećmi, które tu przypominają mysz gospodarujące w nieobecności kota; za nadto często powtarzają się w niej jedne i te same objawy z prostoty i pewnej nawet rubasznosci Wojłokowej wyrastające. Co do dzieci, w najnowszej dramaturgii naszej dostrzegamy nadużycie we wprowadzaniu ich na scenę. PP. Bałucki i Zaleski już przed panią Mellerową pozwalali sobie hojnie na te intromissy niezupełnie prawne, bo tanim kosztem dług komiczności, należy widzom, płacące. Inna jeszcze okoliczność w sztuce p. Mellerowej pobudza nas do ogólniejszej uwagi. Od czasów Anczyca, jeśli dobrze pamiętamy, Litwini wchodzą na scenę naszą jako ludzie w połowie dzieci i samym akcentem swoim rozśmieszający. Uważamy to za naganne; na Litwie — tak samo dzieci i cywilizowani, wykształceni i nieokrzesani, źli i dobrzy, poważni i śmieszni, jak i w innych prowincjach, a ośmieszanie śpięwności właściwej mowie tamtych okolic, i samą mowę, tam właśnie dla nas najdroższą, ośmiesza. Cóż dopiero jeszcze, jeżeli autor, jak to p. Mellerowa uczyniła, język ten, wyśpięwany, pokaleczy i nietylko prowincjonalizmów, ale obczyzny słuchać nam każe! Powinnibyśmy zaprzestać zabawki — która ani przyjemną, ani pożyteczną nie jest, i z Litwinów, nie robić czegoś w rodzaju niemieckich *hansmichłów*.

Streszczając ostatecznie zdanie nasze o Poranku muzycznym, uważamy go za rodzaj tragikomedji, dość żywo i zręcznie napisanej, i dlatego mającej prawo do życia na scenie. Gdyby autorka chciała jeszcze utwór swój przejrzeć, aby go w jednych miejscach poprawić, w innych skrócić, zapewniłaby mu przez to trwalsze powodzenie. Mówiąc o poprawieniu, nie mamy na myśli ani przetworzenia wszystkich charakterów, ani zmniejszenia karykatury, pierwsze bowiem przetworzyć-by się nie dały bez zburzenia sztuki, a drugą, mającą już pewne, choć bardzo subtelne, prawa w komedji, w krotchwili uważamy za nieuchronną. Uważne wniknięcie w utwór samo naprowadzi na tórz zmian wykonalnych a pożytecznych.

Poranek muzyczny przedstawiono starannie. Pani Borkowska za nadto ślimaczyła rolę, a p. Ostrowska przypominała inny typ, pokrewny Wojłokowej.

PP. Labiche i Barrière, firma znana i dobra, tymrazem oczekiwania nasze zawiedli. Szli wprawdzie za dobrem poczuciem sztuki i postarali się o to, aby krotchwilność *Ojca uwiecznionego* wyrażała się w charakterach, a nietylko z położen, ale przesadzili miarę, i tak już z rozsądku, ze wszelkiej logiki i prawdopodobieństwa społecznego, postaci swoje obdarli, że i położeniom samym odjęli zdolność wzbudzania śmiechu: jest to wszystko tak głupie, że śmieszem być nie może, i dopiero

od połowy trzeciego aktu wzbudza jakietakie zajęcie.

Najwłaściwszą nazwą dla tego rodzaju krotoczwili byłaby „szopka“. We Francji takie szopki grają się prędko, i dzięki temu tylko, publiczność je przelżyka, a nawet się niemi bawi. Pospiechem potrzeba słuchaczowi oczy zamydląć, aby głupstwo spostrzegł dopiero po rozmianiu się. U nas *Ojca uwieńczonego* grano niby jaką wielką tragedją, w której między aktami należy widzom dać czas na wytchnienie ze straszliwych, bolesnych wrażeń, albo niby czarodziejski balet, w którym mechanik za sceną więcej znaczy, niż wszystkie nogi na scenie. Sztuka wlokła się tak ślamazarnie, iż była jeszcze niedorzeczniejszą niż jest wistocie. Pomijając strasznie długie między-akty, sama gra wcale nie odpowiadała wymaganiom; *Ojciec* lepiej wystawiony możeby lepsze sprawił wrażenie.

Warszawa zyskała nową scenę stałą: przerobiony z Synagogi na Daniłowiczowskiej ulicy teatrzyk Granzowa Dyrekcya Teatrów Warszawskich wzięła w kilkoletnią dzierżawę i przeznaczyła go na lżejsze komedye, farsy, krotoczwile, wodewile, operetki i wszelkiego rodzaju uciechy sceniczne. Sala jest nieosobliwą, a scena podobno jeszcze gorszą, miejsca za drogie, kontramarkarnia obliczona na niedogodność publiczności. Myśli urzędzenia takiej lekkiej scenki nie uważamy za złą, tylko sposób urzeczywistnienia tej myśli nie wydaje się nam praktycznym i dobrym. Przyszłość może ulepszenia wprowadzi.

Poraz pierwszy w *Jakże trudno dobrac pary!* i w *Ojcu uwieńczonego* ujrzelismy, od paru miesięcy dopiero występującą, pannę Rapaeką, córkę znanego artysty dramatycznego. Debiutantka jest jeszcze bardzo młodą; ma postać wdzięczną, twarz przyjemną, ale czy ma a raczej, czy będzie miała talent? — o tem dziś jeszcze nic powiedzieć nie można. Pewne skłonności, zdolności, usposobienia sceniczne nie stanowią jeszcze talentu; a gra p. Rapaekiej jest dziś jeszcze bardzo surową i głównie zaleca ją śmiałość w poruszaniu się po scenie.

W *Ojcu uwieńczonego* spotkalismy dawną znajomą ze sceny lirycznej, śpiewaczkę, panią Majeranowską. Artystka, która w operach komicznych doskonale zawsze grała, i tu również, w sztuce już nie śpiewanej, ale mówionej, okazała się prawdziwie wytrawną i uzdolnioną.

Wznowieni w Teatrze Rozmaitości *Żydz* Korzenjowskiego ściągają tłumy i zapełnili już kilka razy salę widzów. Sztuka przeżyła się już w swych formach i charakterach, ale nie przeżyła w założeniu, które najzupełniej prawdziwym pozostało, przypominając *in duodecimo* to, co Lessing *in folio* w „Natanie Mędrca“ był uczynił dla wszechstronnie pojętej zasady tolerancji w stosunku chrześcian do żydów. Mistrzowska gra Żółkowskiego, jako Arona Lewego, obudza zapal od najniższych do najwyższych — bierzemy tę wyższość czysto materyalnie — sfer sali teatralnej.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencja zagraniczna.

Podarki noworoczne. — Bazar świąteczny. — Nowości literackie. *Pan z panów*, powieść J. I. Kraszewskiego. — *Mozajka*, Berlicza Sasa. — *Pamiętniki Wybiickiego*. — Nowy materyał do biografii Wincentego Pola. — Powtórne wydanie dzieła profesora Małeckiego o Juliuszu Słowackim. — *Z ciężkich dni*, powieść T. J. Jeża: *Album na dochód Zagrzebia*, wydawane przez *Koło literackie*. — Konkurs na dzierżawę teatru hr. Skarbka. — Olbrzymka i karły. Nubijczycy. — Wykłady naukowe Towarzystwa Pedagogicznego dla kobiet. — Nauki przyrodnicze w szkołach żeńskich. — Stowaryszenie zapobiegające zebractwu. — Dzieci zebrań. — Komisya do rozpoznania stosunków rekodzielniczych. — Pomnik ś. p. Artura Grotgera.

Lwów w Grudniu 1880 r.

(Dokończenie).

Niewiadomo kto układał tę listę, ale to pewna, że na posiedzenie kuratoryi przyniesiono ją już gotową i rzecz w ten sposób za uprzedniem

załatwiono porozumieniem. Bądźco bądź skład tej listy niemało zdziwił każdego. Obok Kraszewskiego, Starzyńskiego, powołani są tu na rzeczoznawców adwokaci, urzędnicy, bardzo biegli w swoim zawodzie, którzy jednak nigdy nie zajmowali się zasadami estetyki i na tem nie pracowali polu. Bałutowski, właściciel jednej z pierwszych pracowni krawieckich tutejszych, która uczyniła go panem kilku kamienic, jest niezawodnie dobrym krawcem, tak jak p. radca Kaszubski rutynowanym i poważanym powszechnie urzędnikiem fiskalnym; ale czyście słyszeli o jednym i drugim, aby w rzeczach estetyki kiedykolwiek głos zabierali, aby dali dowody swego znanstwa wrzeczy niemającej wcale związku z ich zawodem i przeszłością! Podobnież p. p. Horwat i Malinowski są dzielnymi adwokatami, a ten ostatni uczynił niedawno stutysiętny zapis na cele dobroczynne i stypendya artystyczne. To jednak, oile daje miarę szlachetnych filantropijnych uczuć lub zamiłowania sztuki, nie może być przecież jeszcze za dowód znanstwa poczytane i służyć za podstawę sądu, w rzeczach niedających się rozstrzygać zasadami kodexu cywilnego. To pewna, że większość głosów powyższej ankiety będzie za Dobrzańskim; ale pomimo tego sprawa zakończy się prawdopodobnie ustępstwem w drodze ugodowej, albowiem toczą się, jak słyszę, rokowania o to pomiędzy obu spółzawodnikami i umówiono się już nawet podobno o sumę 22,000 guldenów, którą Miłaszewski tytułem zakupu inwentarza teatralnego, będącego własnością Dobrzańskiego, temuż zobowiązuje się wypłacić z warunkiem dobrowolnego odstąpienia od konkursu. Chodzi tylko jeszcze o sposób i terminu wypłaty rzeczzonej sumy, na co się dotąd nie zgodzono. Zwołanie ankiety, odraczające sprawę, daje czas do prowadzenia dalszych rokowań i przywiedzenia do skutku zamierzonej ugody.

Kiedy w ten sposób sfery naszej inteligencji zajmują się sprawą teatru, gawiedz bieżą na plac Bernardyński, aby widzieć kobietę olbrzymkę i dwóch karłów na zaimprovizowanym pokazywanym teatrzyku. Jeden dzień tego widowiska więcej może przyniesie przedsiębiorcy, niżeli czasem dramat Shakespeare'a, przedstawiony na scenie. Tak to zawsze było i będzie, że dziwadła natury więcej znajdując muszą znawców i podziwaczy, aniżeli piękności sztuki. Podziwiać silną budowę wyrosłej nad miarę kobiety, i bawić się dwojgiem karzelków, z których jedno w pudrowanej peruce i stroju z czasów Ludwika XIV, a drugie w mundurze officera pruskiego: to rzecz owiele łatwiejsza i każdemu przystępna. Wszelako przykre wrażenie odnosi się z tego widowiska, w którym człowiek, pozbawiając się godności człowieczej, jak zwierzę w menażeryi, pokazuje się za pieniądze, zadowolony, że może ciągnąć zyski z tego, iż przypadek uczynił go igrzyskiem natury. Wolimy już oglądać Nubijczyków, co także chęcią zysku wiedzeni, licząc na ciekawość Europejczyków, porzucili głębiej puszczy afrykańskiej i puścili się w wędrowkę po cywilizowanym świecie. Potrąciwszy o Lwów w tej pielgrzymce, nie za złotem runem, ale za praktyczniejszym w tych czasach groszem europejskim, zatrzymali się wędrowni Nubijczycy jakiś czas także we Lwowie, i rozłożyli obozem pod gołym niebem, w ogrodzie Czecha, u stóp Wysokiego Zamku, z namiotami, wielbłędami i całą menażeryą zwierząt afrykańskich. mianowicie nieznanych u nas gatunków kóz i t. p. Dla zwrócenia uwagi publiczności, przejeżdżali od czasu do czasu miasto we wszystkich kierunkach, owinięci w białe burnusy, odbijające od czarnych twarzy, w turbanach i fezach, co niemałe na przechodniach sprawiło wrażenie. Obóz ich przedstawiał ciekawy dosyć wzorek życia puszczy; przypominał cokolwiek koczowniczy świat Beduinów, przy bujnej, ma się rozumieć wyobraźni patrzącego nań widza. Ale biedni Nubijczycy pod złą konstellacją przybyli do Lwowa. Trafili na słoty jesienne i drżeli z zimna pod namiotami, oczekując na skąpo, przy ciągłej nie pogodzie, odwiedzając ich publiczność. Po kilkotygodniowym pobycie, niebardzo objuczywszy swe wielbłądy uzyskanym tutaj nabytkiem, zwinęli namioty i pociągnęli w cieplejszy klimat, na południe, na Bukowinę i Multany, za Dunaj.

Od Nubijczyków, na wpół już ucywilizowanych, bo pragnących zysku i rozumiejących, co to jest spekulacya na cudzą ciekawość, przeniesimy się do całkiem dzikich wyspiarzy Oceanu Spokojnego i najdalszych południowych wybrzeży afrykańskich. *Czy ludzie dzicy mają pojęcie o duszy i jak je sobie wyobrażają?* taki temat wybrał sobie prof. Ochorowicz na prelekcją, którą rozpoczął szereg wykładów Towarzystwa pedagogicznego dla kobiet, a głównie dla uczennic seminarium pedagogicznego i nauczycielek szkół ludowych tutejszych. Wykład profesora Ochorowicza zawierał zajmujące szczegóły, chociaż nie był może ściśle zastosowany do koła tych słuchaczów, a właściwie słuchaczek, dla których go przeznaczono. Nie mała-bo to rzecz umieć przedmiot naukowy przedstawić w taki sposób, aby w popularnym wykładzie nie tracił nic na swej naukowej wartości, i objąć całość ogólnym, zasadniczym poglądem wiążącym nicią umiejętną wszystkie szczegóły, wszystkie rozproszone objawy pojedyncze. Wdzięczny przedmiot obrał sobie na drugą prelekcją dr Tadeusz Żuliński: *O wpływie światła na człowieka*, i rozwinął rzecz tę ze stanowiska fizjologicznego i higienicznego. W nader zajmujący sposób wyluszczył szereg spostrzeżeń o działaniu rozmaitych barw na usposobienie człowieka i na rozmaite temperamenta. Wszystkie te spostrzeżenia odnosił do stosunków życia powszedniego, wyciągając z nich szereg prawd i przestróg higienicznych, co wykładowi jego nadało wiele praktycznej wartości. Hygiena jest ulubionym przedmiotem dra Żulińskiego. W poczuciu tego jak ważną rolę odgrywa ona w życiu, jak wielki wpływ wywiera na stosunki społeczne ściśle przestrzeganie jej zasad, stał się dr Żuliński od lat wielu u nas krzewicielem i obrońcą higieny, ilekroć ku temu sposobność się nastreczy, czy-to w Radzie miejskiej, czy w piśmie publicznych, czy wreszcie z katedry nauczycielskiej. Jakoż usiłowaniam tym dra Żulińskiego zawdzięczamy istotnie wiele urządzeń i przepisów przez władze wydanych, mających na celu zabezpieczenie zdrowia publicznego, a co więcej, jego to jest zasługą, że w ogóle zaczęto u nas na ten przedmiot należyta zwracać uwagę, i że na umiejętnych zasadach oparte pojęcia zaczęły się u nas rozpowszechniać, skutkiem czego wiele pożytecznych reform zaprowadzono już w wychowaniu dzieci, urządzeniu pomieszek, szkół i t. p.

Wykłady, o których mowa, urządziło jak i lat dawniejszych, Towarzystwo Pedagogiczne, zaprosiwszy kilkunastu prelegentów, po większej części z grona profesorów tutejszych. Wykładów tych będzie ogółem dwadzieścia; ale, że tylko raz na tydzień, co Środa, mają się odbywać, a przytem w święta i zapusty przerwy nastąpić muszą, przeto pociągną się one przez całą zimę do połowy Kwietnia. Jak corocznie tak i teraz, wielka sala radna w Ratuszu, gdzie się prelekcje odbywają, bywa przepelniona słuchaczami, bo już to przynależnie, że w młodem naszym pokoleniu niewieściem jest wiele chwalebne pragnienia nauki, wiele chęci kształcenia się i wiele pilności, w czem młodzież męzka naszych gimnazyjów i uniwersytetów niezawsze żeńskiej dorównywa. Jedno wszakże można słusznie zarzucić, tak programatowi niniejszych wykładów, jak i w ogóle systematowi nauki w naszych żeńskich szkołach i zakładach zaprowadzonemu, że jest tam, bodaj czy nie zawiele nauk przyrodniczych, z uszczerbkiem innych humanitarnych, historycznych i moralnych. Ponieważ w dawniejszym, przedkonstytucyjnym systemacie szkół austriackich, nauki przyrodnicze były niemal zupełnie pominięte, na co się powszechnie uskarżano, więc też przy reformowaniu szkół, według nowej modły, stało się to, co się zazwyczaj dzieje w razach wszelkiego odpornego działania, dopóki się sprzeczne kierunki nie zrównoważą należycie: że czego w pierw było za mało, dano teraz zawiele, i naukom przyrodniczym przeznaczono zanadto rozległy obszar w systemacie nauki szkolnej, co stosuje się mianowicie głównie do szkół żeńskich. Młode uczennice słyszą tu od klas najniższych tak wiele i nieustannie o roślinieniu, protoplasmach, galaretnicach, ssakach, kręgowcach przed- i popotopowych i t. p., że mimowolnie wyrabia się z czasem u wielu z nich lekceważenie innych dziedzin naukowych, wszyst-

kiego, co nie jest ssakiem lub kręgowcem. Wychowanie i szkoła nie powinny pomijać zadań moralnych, leżących z istoty swojej poza zakresem nauk przyrodniczych, i w tym względzie potrzeba u nas reformy planu naukowego, potrzeba pewnego zwrotu wyobrażeń w kierownictwie pedagogicznym.

Podając pokarm umysłowy łączącej nauk młodzieży, nie zapominamy też o ubogich, potrzebujących poprostu jedzenia i jałmużny, i wyciągających po nią rękę na ulicy. Z początkiem Grudnia rozpoczęło swe czynności *Stowarzyszenie zapobiegające żebractwu*, zawiązane staraniem, przybyłego niedawno do Lwowa, księdza Siemińskiego, i kupca tutejszego, p. Markiewicza. Nie szczydzą oni starań już od pół roku, aby zgromadzić fundusze, zebrać jaknajwiększą liczbę członków wspierających stowarzyszenie pomiędzy tutejszym obywatelstwem miejskim, ażeby z nadejściem zimy, skuteczną rozwiniąć czynność i usunąć z ulic żebractwo, bądź-to przez dostarczenie ciepłego schronienia i pożywienia ubogim, do pracy niedolnym, bądź też przez wynalezienie odpowiedniego zarobku tym, którzy jeszcze są w możności pracować, a tylko z braku sposobności do zarobku, lub też z próżniactwa, oddali się żebraniu ulicznej. Gdy stowarzyszenie otworzyło swe biuro, okazało się, że mu nie braknie funduszy, dzięki ochoczej dobroczynności ogółu, ale brak ludzi, to jest nie ludzi żebrzących, bo tych zgłosiło się zaraz w pierwszych dniach do biura po zapomogę przeszło ośmiuset, a liczba ta wzrasta jeszcze z dniem każdym, ale brak ludzi, którymby starczyło czasu i dobrej woli, poświęcić się na usługi Towarzystwa i zająć się klasyfikacją, i zaopatrywaniem tak wielkiej liczby ubogich, wreszcie kontrolą i wyszukiwaniem tych, co się sami nie zgłosili, przenosząc z jakiegokolwiek bądź powodów swobodne wybieranie haraczu jałmużny od publiczności nad regularny zasiłek od Stowarzyszenia. Biuro założyło metrykę wszystkich ubogich, w której zaciągnięte być mają, nietylko wszystkie, każdego z nich, stosunki odnoszące się do jego stanu i położenia terażniejszego, ale także jego przeszłość, przyczyny zubożenia, zachowanie się moralne i t. p. Owoż do tej-to manipulacji metrycznej, do zbierania powyższych wskazówek, wedle których ma się następnie regulować zapomoga i opieka każdemu ubogiemu udzielana, do tego-to zajęcia, brak ludzi opóźnia na razie rozwój działalności Towarzystwa na szerszy rozmiar. Najpierw winno-by ono zająć się zabranianiem z ulicy dzieci żebrzących, których u nas niepomierne znajduje się liczba. Serce uderza litością i oburzeniem na widok tych nędznych istot, całemi grupami siedzących popod kościołami lub wałęsających się po ulicach, z rozkazu niemilosiernych rodziców, niezawsze zmuszanych potrzebą do wysyłania dzieci po żebranie w największe nieraz mrozy, w złem odzieniu i boso, ale uważających to za korzystną spekulacją na miłosierdzie ludzkie, a zatem poświęcających bez żadnego względu swe dzieci na taką poniewierkę.

Stowarzyszenie rzemieślnicze *Spójnia*, widząc pogorszący się u nas stan rękodziel, głównie z braku należytej, idącej z postępem czasu oświaty rękodzielniczej, tudzież innych przyczyn, którym ustawodawstwo krajowe skutecznie zaradzić może, wniosło do Wydziału Krajowego prośbę o zwołanie komisji rzeczoznawców, któraby zajęła się rozpoznaniem wszystkich stosunków rękodzielniczych tutejszych, i na podstawie tego zbadania wypracowała projekt reform ustawodawczych i administracyjnych, mających na celu podniesienie przemysłu rękodzielniczego na stopę odpowiednią. Komisja ta ma według przedłożonego jej kwestyonażu zbadać stosunki rękodzielnictwa naszego w trzech kierunkach, mianowicie: wykształcenie rękodzielnicze, reformę ustawy przemysłowej i potrzebę poprawy stosunków ekonomicznych w ogóle, oile takowe sta-

nu rękodzielniczego dotyczą. Wiele dobrego spodziewają się tu po pracach tej komisji, w których sejm znajdzie podstawę i wskazówki do przeprowadzenia zbawienych reform. Chociażby skutek ograniczył się tylko do ulepszenia szkół rękodzielniczych; jużby to samo było wielką korzyścią dla wszystkich. Mamy wprawdzie szkołę przemysłową i znakomicie zaopatrzone miejskie Muzeum przemysłowe; jest i szkoła niższa rękodzielnicza, do której obowiązani rzemieślnicy wysyłają wszystkich młodzieź z swych pracowni, po ukończonej robocie dziennej, na naukę wieczorną: ale szkoły te wiele jeszcze wymagają ulepszeń, a co gorsza, pp. majstrowie nie stosują się ściśle do rozporządzenia nakazującego im wysyłanie młodzieży rzemieślniczej na naukę. Wogóle biorąc, stan oświaty naszych rękodzielniczych jest ciągle jeszcze niski. Stosunki służbowe czeladzi i chłopców po pracowniach nie są także należycie uregulowane, ani nie kształcą, jak przynależy, w rzemiośle, ani nie zachęcają do pracy. Niedostatkom tym zapobiegają, oile to się w drodze prywatnych usiłowań da uczynić, stowarzyszenia rękodzielnicze, *Gwiazda* i *Skala*, posiadające u siebie swe własne szkoły początkowe i kasy oszczędności. W przeciągu lat dwudziestu, odkąd istnieją, uczyniły one niezmiernie wiele dobrego i podniosły stan rzemieślniczy, można powiedzieć, wysoko, w porównaniu z tem, czem był dawniej. Lecz wszystko to jeszcze mało, bo usiłowania prywatne nigdy tego nie dokażą, co instytucje ustawami zawarowane. A do tego właśnie grunt przygotować — jest zadaniem komisji, o której mowa.

Temi dniami odsłonięto uroczyscie w kościele OO. Dominikanów pomnik Artura Grotgera, wykonany w Krakowie przez Gadomskiego, za staraniem komitetu ze składek publicznych. Przedstawia on w plastyczne kształty ujęty rysunek. Na złamanej piramidzie umieszczone w płaskorzeźbie popiersie artysty wieńczy wawrzynem stojąca obok piramidy niewiasta, u stóp której stoi urna, okryta

symboliczną płaskorzeźbą. Piramida wykuta z marmuru szarego szlaskiego, zaś medalion z popiersiem, urna i niewiasta, wyobrażająca geniusza sławy, z najpiękniejszego białego kararyjskiego marmuru. Trzy tylko marmurowe pomniki posiadają kościoły lwowskie: jeden dłuta Thorwaldsena, w tymże samym kościele OO. Dominikanów, drugi w katedrze, a ten trzeci. Pod względem układu, zarzucilibyśmy mu, że postać niewiasty wieńczącej medalion zanadto zwrócona jest ku piramidzie, z czego wynika, że, stanawszy przed pomnikiem, widzi się tylko jej plecy, w górę upięty warkocz i powłóczyście sfałdowaną szatę, cały zaś pomnik widzieć się daje tylko z jednego punktu, z boku od lewej strony. Rażącem też jest niedbale rzucony rysunek na urnie, tembardziej, iż urna ta, umieszczona na pierwszym planie, równolegle z okiem widza, najpierw wzrok uderza. Lepiej było pozostawić gładką powierzchnią, niżeli zapełniać ją złym rysunkiem. Pięknym wykończeniem odznacza się popiersie, w którym uchwycony jest wyraz duchowy oblicza s. p. Grotgera, — bez tej suchotniczej chudości, co się ostatniemi laty przed śmiercią na niem rozpostarła. Pięknie również wykuł artysta postać niewiasty; do wykonania jej widocznie najwięcej przyłożył starania. Ostatecznie powiedzieć można, iż zalety dzieła wynagradzają powyżej wytknięte usterki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tyt.: *Wódz-Duch*.

WYCHOWANIE MACIERZYŃSKIE

Dzieło premiowane na Konkursie

przez Redakcją „BLUSZCZU“ ogłoszonym.

Usiłowania Redakcji w celu dostarczenia matkom naszym przewodnika w ważnym zadaniu wychowania młodych pokoleń, po dwukrotnie ogłoszonym Konkursie, w roku bieżącym szczęśliwy osiągnęły skutek.

Komitet uproszony do rozpoznania rękopismów na Konkurs nadesłanych, w skład którego weszli PP. *Paulina Kraków, Jadwiga Sikorska, Piotr Chmielowski, Floryan Łagowski, Roman Plenkwicz* i *Henryk Struce*, przysądził nagrodę dziełu Pani **ZOFII KOWERSKIEJ**.

Publiczność nasza, w książce która pod powyższym tytułem wyjdzie w pierwszym półroczu 1881 r., zyskuje cenny nabytek wspomagać mogący kobietę w jednym z najważniejszych zadań jej życia.

Osoby, które nadesłały na to dzieło rs. 2 kop. 50 przed 1 Marca 1881 r., otrzymają exemplarze poprawne.

Michał Glücksberg,
Księgarz-Wydawca.

TREŚĆ. *Kassandra*, (poezya), przez M. I. — *Obowiązek*, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — *Sama jedna*, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — *Nowiny paryżkie*, (dokończenie). — *Przegląd teatralny*, przez Stanisława Krzemińskiego. — *Korrespondencya zagraniczna*, (Lwów), (dokończenie).

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg)

Zawołał głośno: Unkas! a Tankred, zadziwiony tą nazwą indyjską, ujrzał wybiegającego z chaty człowieka z zapalonym łuczywem; czerwone światło tej pochodni oświecało szczególną postać: czerwonoskórego Indyanina. Odkryta głowa była ogoloną, i tylko mały kosmyk włosów widniał na niej, całe ubranie stanowiła czerwona koszulka trykotowa, obcisłająca się koło ciała, lecz zostawiająca odkrytymi całe niemal golenie. Na nogach miał ciężmy skórzany, sięgający dość wysoko po za kostkę, przecież dziwaczny ten ubiór, nie tyle raził tu, niż gdzieindziej, gdyż górale Irlandzcy, podobnie jak Szkoccy nosili również łydki i golenie odkryte. Ale barwa skóry czerwona, twarz płaska z małymi oczkami, wreszcie ślady tatuowania na nogach uderzały raziąco oko Europejskie, czemu jednak Tankred mniej ulegał. — Indyanin! zawołał niemniej z podziwieniem.

— Tak — odparł nieznajomy — Indyanin przywieziony z Ameryki, sługa wierny a raczej przyjaciel poświęcony. W tobie wicehrabio, będzie on już od tej chwili widział gościa mego, mogę zatem być spokojnym, że ci tu nieczego nie braknie. Spij spokojnie do dna białego: dobranoć i dzięki za to, żeś raczył mi odpowiedzieć na pytanie, do którego nie miałem prawa. Ale rzecz jest bardzo ważna i dziękuję panu, żeś mnie obdarzył zaufaniem.

Cofnięto się znów ku brzegowi i nieznajomy przy świetle pochodni wskoczył do łódki. — Ale i pan może być sobie życzyl wiedzieć moje nazwisko — rzekł. — Dowiesz się jutro.

Odbił od brzegu, zegnając zdjęciem kapelusza Tankreda, który poszedł za Czerwonoskórym przewodnikiem i znalazł się wkrótce w chacie, której jedyna izdebka przedstawiała się schludnie i miło. Wysokie, jak sofa, posłanie z mchu pokrywał kobierczyk; na stole stała zimna, ale dobra i posilna wieczerza, na kominie gorzał ogień i było tu razem miło i zacisznie. Tankred zasiadł zaraz do stołu, przy którym Unkas usługiwał mu jak zreczny lokaj europejski, ale jedząc i pijąc wicehrabia nie tylko przypominał sobie rozmaite, a wszystko tak wzruszające wrażenia dnia przebytego, ale zarazem łamał głowę, gdzie i kiedy widział nieznajomego? Ciekawość co do osoby tajemniczego miejsc tych władcy, bo takim okazał się wśród pokornie słuchającego go ludu, wzmogła się w Tankredzie do tego stopnia, że postanowił za pomocą zapamiętanych słów indyjskich, dowiedzieć się czegoś od Unkasa. Ale czerwonoskóry uśmiechnął się smętnie na dźwięki ojezystej swej mowy i otworzywszy szerokie usta pokazał, że miał język ucięty.

Był to więc niemy i Tankred, powiedział sobie w pół wesoło, w pół gniewnie: — Mat, p. wicehrabio... Tajemnica otacza cię na piękne i jak rycerz z bajki musisz iść spać, nie wiedząc nic w czyich jesteś rękach?

Ledwo że świtało, gdy ktoś przebudził go lekkiem dotknięciem w ramie.

Był to nieznajomy. — P. wicehrabio, czas już nam na drogę — rzekł z grzecznym uśmiechem.

Miał na sobie ubranie zamożnych dzierżawców

irlandzkich, do czego dołączył wysokie buty do polowania, a przez ramię przewiesił strzelbę amerykańskiego pochodzenia. — Panie wicehrabio — mówił, gdy Tankred ubierał się coby prędzej — nie znajdziemy koni, aż po drugiej stronie góry, czy zatem kawał drogi przemycnieźmi ścieżkami nie zastrasza cię?

— Byłem kiedyś zapalonym myśliwcem, a teraz jestem żołnierzem — odparł Tankred i po lekkiej przekąsce z dodatkiem filiżanki gorącej kawy, którą Unkas przygotował, gdy Tankred spał jeszcze, wyszli z pustelni. Zamek, który teraz już był tylko ogromnym stosem dymiących gruzów, zamykał dolinę przy jej ujściu w zarośla, i jak się zdawało niedostępny już człowiekowi świat gór, płynięto więc w tył, nazad ku miejscu, które Tankred przebywał wczoraj pod kierunkiem Pata.

Wyniosły i lasem zarosły przylądek, wrzynający się w jezioro kilkoma ramionami, który wczoraj Tankred okrążył, był teraz celem, ku któremu łódź się zbliżała. Gdy wylądowano i posunięto się na przód zarosłą ścieżką, wiodącą do nieco więcej utworowanej drogi, usłyszano szybkie kroki i strącone z góry w dół kamienie. — Ktoś wstał tak rano jak my — rzekł nieznajomy, gdy w tej chwili, ujrzano Pata. Zstępował z wyżyn lesistych, na których stoku znajdowały się ślady oszańcowania jakiegoś starożytnego obozu; chłopak był widocznie wzruszony i kroki jego były żywe, lice rozognione. — Ach! wykrzyknął, ujrzawszy Tankreda — Wasza Cześć, już o tej porze.

— Puszcza się w dalszą drogę — odrzekł mu Tankred — lecz ty gdzie idziesz?

— Z powrotem do domu...

— I pieszo?...

— Pieszko... niemam już nic z darów Waszej Cześci... ani konia, ani pieniędzy. Zabrano mi...

— I pozwoliłeś sobie wziąć. Czy cię opadło kilku rabusiów?

— Nie, o nie... Sam jeden był ten, który mi to wziął, ale się niebronił. Kazał mi dać sobie, co mam, i dałem...

Mówił to biedak głosem żalonym, a raczej głosem pokornej rezygnacji.

— Dałem wszystko... powtarzał.

— Ale dla czego? zawołał Tankred rozgniewany. Któż to taki, któremu tak uległeś lekliwie? Tchórz jesteś, widzę...

— Nie jestem tchórz! Ludzie wiedzą dobrze, że Pat nie tchórz, ale to był ktoś... to był Dziki Ir...

— Dziki Ir! zawołał żywo nieznajomy, nagle mieszając się do rzeczy — kłamiesz.

— Nie... czasem kłamię, ale nie teraz. O nim grzech kłamać. Ale oto... oto jest... tam...

Nie tą wąską ścieżką, którą szedł Pat, ale szerszą nieco drożyną jechał ktoś konno. Powolny chód konia, hamowanego na dość spadzistym stoku zarosłej wzgórzystości, dawał się słyszeć wyraźnie. — Dziki Ir... szeptał Pat przysuwając się do Tankreda, który chciał się ciekawie wysunąć na spotkanie człowieka, żyjącego lat pięćset, ale nieznajomy go powstrzymał. — Proszę cię wicehrabio, stój na miejscu, — rzekł żywo, i opatrzył zamek swej strzelby, a potem zwrócił się do Pata. — Przysięgnij mi na Boga w Niebiosach i Matkę Przenajświętszą, na duszę twoją i duszę ojca twego, że to, coś powiedział, jest prawdą, i że ten właśnie jeździec między drzewami jest człowiekiem, który się zowie Dziki Ir — mówił przyciszonym, ale poważnym i uroczystym nawet głosem.

— Przysięgam na Boga w Niebie i Najświętszą Pannę, na duszę moją i mego ojca, a nawet na Świętego Patryka mego patrona, że to on... O! mój konik... mój...

— Cicho — szepnął z żywością nieznajomy i cofnąwszy się nieco, wszedł na wyniosły odłam skały, koło której musiała przejeżdżać tajemni-

cza istota. Nie przecież nie oznajmiało tego. Krepy, niski człowiek lat średnich jechał powoli. Patrzył jakoś w dal i niewiedział przed sobą wyniosłej postaci, ze strzelbą w rękę, aż usłyszał głos: — Kto jesteś człowieku? zawołał nieznajomy. — Przez Boga Ojca, i Syna, i Ducha Świętego mów prawdę, jak księdzu na spowiedzi. Kto jesteś, jakie są twe cele i dla czego nazwał się niedawno *Dzikim Irem*? Nie jesteś nim, mów dla czego przybrałeś to nazwisko? Jeżeli byłeś w niebezpieczeństwie życia i potrzebie ratowania go, mów, a włos żaden nie będzie uronionym z twej głowy. Ale mów — prędko i szczerze! Mów...

Jeździec, przerażony zrazu i niepewny co mu należy czynić, stał w miejscu, aż nagle, spiawszy konia zawrócił i począł uciekać w tył.

— Niech krew twoja, spadnie na twoją głowę! — zawołał nieznajomy i wycelowawszy, strzelił.

Jeździec spadł z konia. Tankred i Pat poskoczyli żywo ku niemu, nieznajomy szedł powoli, blady i wzruszony.

— Nie żyje — krzyknął Pat, dźwigając z ziemi martwe już rzeczywiste ciało. Kula przeszywszy płuć uderzyła w serce i zabiła nieszczęśliwego na miejscu.

— Carriekl... wykrzyknął na raz Tankred, poznawszy w trupie tego, któremu wymknął się w Corku, na nieodnalezienie, jak sądził. Przecież już go doganiał, już był na jego śladzie.

— Agent tajny — dodał nieznajomy, który wyjął z kieszeni zabitego pugilares z papierami. Miał daną sobie tym oto mandatem policyi, moc aresztowania każdego, kogo zechce; komenda wojskowa winna mu była dać wszelką pomoc.

Pat trzymał już w rękę kieskę nieboszczyka, z której rad był wyjąć co prędzej swoje pieniądze.

— Weź wszystko — rzekł mu nieznajomy — bierz również konia i wracaj co prędzej z kąd przybywasz. Pamiętaj tylko sam i powiedz każdemu, że *Dziki Ir* nigdy nie rabuje, nie obdziera, nie dopuszcza się żadnej rzeczy podłej.

— Ja jestem *Dziki Ir* — rzekł do Tankreda z melancholicznym nieco uśmiechem.

VIII.

Wytłomaczenie

Z doliny Gurganne Bara jedna tylko droga prowadzi w kierunku północno-wschodnim.

Z początku ciągnie się ona wązkim i stromym wąwozem, dającym przejście zaledwie jednej pieszej osobie. Dziki Ir szedł przodem, Tankred postępował za nim, podziwiając wysoką postawę, siłę i zręczność swego śmiałego towarzysza.

Lecz stopiowo zmniejszała się spadzistość, a ścieżka stawała się coraz szerszą i wreszcie obaj podróżni mogli iść obok siebie.

— Dotrzymałem obietnicy — odezwał się wtedy przewodnik Tankreda. Poznałeś pan mą tajemnicę... i teraz już znasz moje nazwisko...

— Przydomek wojenny! — odpowiedział Tankred. — Jeżeli trafnie pojmuję legendę, nosili je w ciągu wieków bohaterowie...

— I złoçynicy — dodał Dziki Ir. — Ułatwiało im to rozbój na publicznych drogach i w ten sposób stosownie do opinii, panujących w tym nieszczęśliwym kraju, uchodzi się za bohatera, lub za bandytę.

Wicehrabia chciał zaprzeczyc.

— Ale mniejsza o to! Zgadza się i na nazwę rozbójnika — odparł żywo Dziki Ir. — A czyż nie zbójcami byli Normandowie — zaborcy, którzy

podbili nas i zamienili w nędznych niewolników? Od tego czasu historia nasza płynie krwią i łzami: od dziesięciu wieków Anglia morduje i obdziera Irlandyę. Ale ten nieszczęsny kraj ma niepospolicie twarde życie! Użyto przeciw niemu wszystkich środków: żelaza, ognia, głodu. Za panowania królowej Elzbiety ludność całych okolic żyła blisko rok zielskim uzbieranem po wrzosowiskach. Pod rządem Kromwella mordy, pożogi i spustoszenia! Broniliśmy sprawy Stuartów — a oni za to odwiedzili się nam jeszcze sroższymi okrucieństwami. Pod domem Oranii przesładowanie wzrosło jeszcze: wojna rasowa i religijna zarazem! A co za prawda! Za prawdę, żaden lud zwyciężony nie miał takich! Odmówiono nam wszystkiego, zabrano wszystko, szlachcie stare ojcowizny, ludowi wolność czoł swego Boga, wydarto nam nawet ostatnią pociechę: dzieci, synów naszych! Och, wrogowie nasi nie znają miłosierdzia, czyż więc nie mamy prawa być względem nich podobni do nich? i czy nie jest naturalną rzeczą, że każde pokolenie uważa sobie za obowiązek, aby wstrząsać gniotące nas jarzmo? Wtedy najśmielszy przybiera ów przydomek: Dziki Ir, i jest to jego sztandar! Zrozumiałeś pan dobrze legendę: lud chce, aby to był zawsze jeden, i ten sam człowiek — jego nieśmiertelny obrońca, wielki mściciel, wódz-duch! Sam stawszy się obłubieńcem śmierci, skazuje na nią swych braci, w razie gdy zdradzą, bo niestety! muszę wyznać, że słabości nasze, nasze niezgody przyczyniły się niemało do naszych nieszczęść. Religia nas rozdziela: fanatyzm rozdarł na dwie połowy, lecz raz, jeden jedyny raz stał się cud i przyszło do zgody. Protestanci i katolicy podali sobie broń w imię wspólnej miłości ojczyzny. Stało się to zeszłego roku: przybrano nazwę *Irlandczyków połączonych*, a przytem mielesmy wtedy broń. Sto tysięcy żołnierzy mogło stanąć w polu. Och! gdyby Hoche mógł być wylądować w Bantry, Irlandya została by wyzwoloną z pod jarzma ciemięzców!

Niewypowiedziany zapał, niewypowiedziane uczucie promieniało w twarzy, błyszczało w oczach mówiącego. Gdy malował cierpienia Irlandyi w głosie jego drżała tłumiona boleść. Przy wzmiance o ostatnim zawodzie, błyskawica bezsilnej boleści zaświeciła w jego oczach.

— Nie rozpaczaj pan! — odezwał się Tankred. — Myśl Hochy nie umarła wraz z nim...

I przekonany, że w obec tego, którego musiał odtąd nazywać Dzikim Irem nie miał potrzeby zachowywać dłużej tajemnicy, odpowiedział mu ostatnie chwile bohatera, jego zlecenia, dane generałowi Humbert, przekazanie mu swej missyi.

Pomyślnie te wiadomości rozjaśniły czoło nieznanego.

— Dziękuję panie wicehrabio, za dowód zaufania — odpowiedział z żywością. — Wstrzymamy się, zaczekamy. Lecz Hoche był człowiekiem genialnym — przeznaczonym do działania rzeczy wielkich czy będzie takim jego następcą?...

Przybyli na wierzchołek wzgórza wznoszącego się stromo w pośród gęstego lasu. Dziki Ir gwizdał ostro, naśladując głos dzięcioła, a w chwilę potem ukazał się z po za drzew z siekierą na ramieniu drwał olbrzymiego wzrostu.

— Przejście jest wolne — rzekł. — Erin go bragh...

Wódz-Duch powtórzył ostatnie słowa. Było to hasło brzmiące w całej Irlandyi, poczem odpowiadając na nieme pytanie, widniejące w oczach dodał:

— Cierpliwości jeszcze!... Godzina zbliża się! Poczem idąc dalej obok wicehrabiego, odezwał się:

— Widzisz pan, jesteśmy jako tako przygotowani. Mamy placówki rozstawione tak po całym kraju. Tylko broni, tylko broni nam brakuje! Lecz niech generał Humbert spieszy się... w przeciwnym razie nie zdołamy powstrzymać naszych ludzi!...

Dostali się teraz na sam szczyt wyżyny, będącej płaskówką; szli po płaszczyźnie, zarosłej odwiecznymi drzewy, i panującej nad całą okolicą.

Od czasu do czasu, w miejscach mniej zarosłych, wzrok wybiegał daleko i miał przed sobą niezmierny ocean zieloności. Odwieczne lasy, poruszane łagodnym tchnieniem wiatru, przypominały Tankredowi okolice Nowego Świata. Gdyby nie liczne ruiny, rozsiane tu i owdzie wśród krajobrazu, mógł być uwierzyć, że znajduje się wśród wspaniałych pustyń Ameryki.

Po całogodzinnym pochodzie, ścieżka zaczęła się znów zwać, spuszczać się w dół po bardzo stromej spadzistości. Dołem ukazały się olbrzymie łąki, bujne i zielone jak sawany.

— Zstępujemy na grunt hrabstwa Tipperary — rzekł przewodnik. W tej chwili ukazał się jakiś podróżujący handlarz, który mijając go, szepnął: — Erin go bragh! Przejście jest wolne!

Podróźni zeszli wreszcie z góry. Dziki Ir skręcił w bok ku grupie skał, wznoszących się w pośród drzew. Tam w załamku, będącym dziełem natury a nie ręki ludzkiej, dwaj ludzie ubrani w zielone suknie niby gajowci, albo yeomeni z powieści Walter - Scotta, piekli nad ogniem ogromną ćwiartkę sarniny, zatkniętą na stemplu od strzelby.

Nieco dalej na małej łączce wśród lasu para pięknych rasowych rumaków pasła się wśród bujnej trawy.

— O, zawołał Gaillefontaine — co za dzielne bieguny!

— Są one przeznaczone dla nas — odpowiedział jego towarzysz — i jeżeli, panie wicehrabio, jesteś tak dobrym jeźdźcem jak piechurem, w takim razie jeszcze przed wieczorem będziesz mógł spełnić swe posłannictwo i zobaczyć się z sir Arturem O' Connor. Zresztą dla czegoż miałbym to tać przed panem? O' Connor ukrywa się w Kildare u lorda Edwarda Fitz - Geralda.

— U Fitz - Geralda! — zawołał Tankred z radośnym zadziwieniem.

— Ach! — odparł Dziki Ir, widocznie zadowolony. — Więc nie zapomniałeś pan tego nazwiska?

— Tak krótka pamięć było by z mej strony niewdzięcznością — odparł Gaillefontaine — gdyż Fitz - Gerald ocalił mi życie. Datuje się to jeszcze z czasów Amerykańskiej wojny o niepodległość!...

— Przebacz, panie wicehrabio, że ci przerwę, lecz może zechcesz opowiedzieć mi owo zdarzenie przy śniadaniu? I ta pieczeń sarnia oczekuje na nas — może więc podczas jedzenia?...

Zupełna zmiana zaszła teraz w wyrazistej twarzy Dzikiego Ira; był on teraz rozpogodzony i prawie wesoły. Zdawało się, że sama wzmianka nazwiska Fitz - Geralda była dostateczną, aby spędzić wszystkie chmury z jego czoła, wszelką gorę z jego słów.

Za stół posłużyła im skała, wystająca z ziemi w kształcie grzyba, za krzesła wiązki paproci, służących zastąpił dwaj yeomeni. Jeden z nich zdjął z różną pieczeń, drugi odkorkował butelkę.

— Jedzmy więc! — odezwał się wesoło Tankred. Poranna przechadzka wzbudziła w nim apetyt, który nazwał wileczym, mimo to opowiadał, jak pewnego razu wpadł w ręce Anglików, wraz z trzydziestu wirgińskimi kawalerzystami, któremi wówczas dowodził.

— Nie podobna było myśleć o oporze! — mówił. Oddział który nas pochwylił z nienacka był przednią strażą dwóch pułków i musieliśmy poddać się. Generał Burgoyne zapytany o rozkazy względem nas, odpowiedział krótko: — Powiesić!

— Tam do dyabła! — odezwał się Dziki Ir, kładąc duży zraz zwierzyny na szeroki kawał kory drzewnej, służący jego gościowi za talerz.

— Szczęściem dla nas — mówił dalej Tankred, oficer, który otrzymał ten barbarzyński rozkaz, nie chciał go wykonać i dzięki szlachetnemu człowiekowi uciekliśmy podczas tej samej nocy. Naszym zacnym wybawcą był właśnie Fitz - Gerald i oto ztąd moja wdzięczność i serdeczna nasza przyjaźń.

— Ztąd również i spadła na niego nielaska — dodał żywo drugi współbiedziak. — Zdegradowano szlachetnego oficera, wypędzono go hanie-

nie z armii, jak nizekzemnika, któryby zdradził lub zbiegł z szeregów podczas bitwy. Biedny Edward! Drogę do domu tamowała mu armia nieprzyjacielska, musiał też torować sobie inną przez nieprzebyte lasy, wiodąc życie dzikiego człowieka, syjając pod drzewami, gasząc pragnienie wodą strumieni, bezustannie przesładowany przez krajowców, cheiwyh krwi Europejczyków.

— I był sam? — zapytał Gaillefontaine.

— Nie... dwóch przyjaciół towarzyszyło mu: wierny murzyn Tony, który go nigdy nie opuszczał, i ktoś drugi, jego współrodak, który jako ochotnik służył w pośród pokolenia Indyan, sprzymierzonych z La Fayettem.

Nagle wicehrabia uderzył się ręką w czoło.

— Eureka! — zawołał, niemniej ucieszony jak Archimedes, gdy wydawał ten okrzyk. Teraz już wiem... już znalazłem, przypominam sobie! Tak, teraz poznaję pana! Jesteś owym nieustraszonym wojownikiem, który zalał niesłychanie za skórę Anglikom i którego Huroni nazywali Jaguarem.

— Tak — odparł Dziki Ir, uśmiechając się — jest to przydomek, nadany mi przez mych przyjaciół czerwonoskórych.

— A ludzie, mający białą skórę, jakże nazywają pana? Ci, którzy nie są ani *Białemi chłopcami*, ani *Stalowemi Sercami*, ani *Sercami Dębowemi*?... Jak oni nazywają pana? Na Boga, pragnął bym to wiedzieć!

— Jakóbem.

— Jakóbem? I nic więcej?

— Nic więcej, panie wicehrabio. Nigdy nie znałem ani ojca, ani matki; a raczej jedyną matką jest mi... Irlandya!

— A więc zwiesz się pan Jakóbem Irlandzkim, zawołał Tankred. — Czy nie piękne miano rodzinne? Proszę podajmy sobie ręce i uściskajmy je, jak przyjaciele, kawalerze Fitz Eryn.

Z wdzięcznym, lubo pełnym godności uśmiechem, Jakób Fitz Eryn przyjął ten zaszczyt. Tymczasem jeden z yeomenów nalał szklanki.

— Zdrowie lorda Edwarda! — odezwał się Gaillefontaine.

— Dziękuję i w jego imieniu i w moim — odrzekł Dziki Ir. — Wprawdzie pijemy z drewnianych czarek, ale wino jest prawdziwie francuzkie. Poczem wychyliwszy toast, dodał: — Panie wicehrabio, w sercu mojem znajduje się miejsce na dwa tylko uczucia: nienawiść dla ciemięzców i tkliwa miłość dla lorda Edwarda. Matka jego przyjęła mnie do swego domu, wychowywała razem z własnym synem i prawie na stopie równości. Ludzie utrzymują, że jesteśmy podobni do siebie, jak synowie jednego ojca, Edward uważa mnie także za brata. Co do mnie, nawet śmierć za niego byłaby dla mnie szczęściem. To też znajdując się w Ameryce, dopóki on zostawał w szeregach Anglików, wstrzymywałem się od udziału w walce, pomagając Francuzom tylko wtedy, gdy byłem pewny, że Edward znajdował się gdzie indziej. Wydalenie jego z wojska rozwiązało mi ręce.

— I postarafaś się pan wynagrodzić czas stracony, nie prawdaż?

— Tak — odpowiedział nowo kreowany kawaler Fitz Eryn — sądzę że dotąd pamiętają Jaguara, szczególnie w Sataroga, gdzie Burgoyne złożył broń. Jednak i potem jeszcze zostałem przy Washingtonie. Lord Edward już wtedy przebył ocean i powrócił do ojczyzny.

— Wiem o tem — przerwał Tankred — gdyż widziałem Fitz - Geralda w Paryżu. Były to straszne czasy — rok 1792. Wtedy my staliśmy się banitami, ściganymi jak dzikie zwierzęta. Pomimo tych zaburzeń na przedmieściu Saint - Germain istniał salon rokoszny i osłoniiony tajemnicą kwiatek w pośród przepaści. Lorda Edwarda przyjęto tam z otwartymi rękami. W towarzystwie cudnej dziewczyny, a jak powiadają córki księcia orleańskiego i pani de Genlis, Fitz - Gerald zapomniał o bolesnych przejściach na polu wojny. Byłem świadkiem ich ślubu. Ach, co to była za śliczna para.

— Zobaczysz pan lady Pamelę w Kildare! —

rzekł Jakób uszczęśliwiony tą pochwałą. — Jest ona aniołem dobroci i słodyczy! Edward uwielbia żonę.

— Nie można było wątpić że się tak stanie — odpowiedział Tankred. Zdawało się też, że i on był gorąco kochany.

— Był i jest! — zawołał Jakób z zapałem. — Bo któż by mógł go nie kochać? Jest to szlachetny człowiek, w całym znaczeniu tego słowa: co za rozum, takt a w dodatku najzaciejsze serce, jakie kiedykolwiek było w piersi ludzkiej! Ja jestem sam jeden na świecie i narażam tylko życie. Lecz on, w tej walce, od której bardzo usilnie wpływy starały się powstrzymać go, stawia na kartę stanowisko, majątek, i szczęście serca — o! bardzo wielkie szczęście.

— Więc to tak! — rzekł Gaillefontaine. — Więc i on należy do związku? Wtakim razie będziemy towarzyszami i może zdołam kiedy wypłacić mu się z długów!

Teraz Jakób z kolei wyciągnął rękę ku Tankredowi.

— Kochasz go, panie wicehrabio, a więc i ja kocham ciebie? Lecz już dość straciliśmy czasu. Na koni!

I dwaj nowi przyjaciele ruszyli wkrótce galopem.

Po chwili wydostali się z lasu i pędzili przez niezmiernie łaski, przez falujące zieloności, przez modrawe od mglistych oparów obszary. A dzień był pogodny i jasny jak rzadko. Nigdy przepych i radość ziemi nie promieniowały żywszymi połyskami. Na niebie ukazywało się zaledwie kilka obłoczków, białych jak łabędzie. Cienie rumaków i jeźdźców zdawały się biegać obok nich po trawie.

Kilkakrotnie zmieniono konie, które znajdowano zawsze czekające w pogotowiu. Gdy przesiadli się raz ostatni, wierzchowce galopowały teraz po elastycznym gruncie torfowisk.

— Znajdujemy się już w hrabstwie Kildare — objaśniał Tankreda przewodnik. — Teraz już niegrozi nam żadne niebezpieczeństwo okolica ta jest jeszcze spokojną.

Wreszcie skręciwszy w piękną topolową aleję, ujrzeli małe, podupadłe miasteczko Kildare, wdzięcznie zbudowane na wzgórzu, uwieńczonym drzewami.

Na pierwszym planie rozciągała się rozległa płaszczyna porośnięta trawą. W Irlandyi równiny takie zowią: Curragh; są to miejsca służące do konnych wyścigów okolicznym sportsmenom.

Tu w jednym z baraków, służących za czasowe stajnie, oczekujący na podróży masztalerz odebrał od nich konie. I on jak poprzednik jego rzekł: — Przejdźcie wolnie! Erin go bragh!

Poszli pieszo do stóp pagórka, ku starym wałom.

Dziki Ir z ostrożnością przesunął się przez gęsto zarosłe krzaki, towarzysz jego naśladował go.

W ten sposób niespostrzeżenie doszli do jakichś starych drzwi, szerokich i niskich, jakie zwykle służą za wchód do piwnic. Były to opustoszałe koszary. Do podziemi tych przekradało się blade tylko światelko przez jedną strzelnicę, zasłoniętą w większej części przez pasożytne rośliny.

Pomimo tego Jakób bez trudności trafił do drzwi, od których posiadał klucz. Skoro tylko otworzył je, nasi podróżni uczuł powiew chłodnego, wilgotnego powietrza.

Przeszedłszy przez długi, ciemny korytarz, a następnie przez kilka kamiennych schodków, Dziki Ir nacisnął ukrytą sprężynę w sklepieniu, poczem po drabince dostali się oba podróżni do otwartych po nad ich głowami drzwiczek, które natychmiast zamknęły się za nimi. Teraz znaleźli się w pokoju, w którym ujrzeli znów światło dzienne.

Był to gabinet uczonego, a zarazem podróżnika i żołnierza.

Na ścianach pomiędzy obrazami, przedstawiającymi bitwy lądowe i morskie, wisiały rozliczne bronie wszystkich czasów i ludów, poczynawszy od obosiecznych toporów, aż do pistoletu, od szpady człowieka cywilizowanego, aż do tomahawki

dzikich Indian. Po nad średniowiecznym kufrem, z ogromnem, wypukłym wiekiem, widziano w szklanych szafkach sztucznie wypchane ptaki z obcych, dalekich krajów. Na stole, pomiędzy książkami leżały okazy rzadkich roślin i kwiatów.

W gabinecie tym znajdowało się jedno tylko okno, otwarte w tej chwili i tylko przysłonięte spuszczoną żaluzją.

Jakób zbliżył się do niego i bez żadnego prawie szmeru uchylił nieco żaluzji.

— Nie zapytałeś mnie, panie wicehrabio — odezwał się po cichu do Tankreda — jakie życie pędzi obecnie Fitz - Gerald... oto patrz!..

— Tak, taki i co więcej jeszcze. Wysłano go do... —

IX.

Ostatni dzień szczęścia.

Tankred ujrział rokoszny ogród, utrzymywany z wielką starannością.

Nie podobna było odgadnąć jego rozległości, gdyż otaczające go mury ukryte były pod pięknymi drzewami, których liście nie pozostawiały dotąd pod chłodnym powiewem jesieni. Nie dochodził tu hałas miasteczka, i widać było jedynie wysmukłą wieżę starej katedry. Lecz w pobliżu, z wysokiego tarasu, rozciągającego się naprzeciwko domu, ukazywał się rozległy widok na zielone błonie curaghu i dalej, w głębi widnokregu, przez różowe mgły zapadającego wieczoru wzrok mógł błędzić do woli po niezmierniej panoramie lesistych wzgórz okolicy. Z tej strony zdawało się, że ogród nie miał innych granic prócz nieboskłonu.

Założony na sposób angielski, składał się z pysznych trawników i cienistych klombów, w pośród których biegły wężykowiato drożyny, wysypane miłym piaskiem. Niekiedy były to piękne cieniste ulice wysadzone drzewami. A wszędzie kwiaty i to najzadsze, najpiękniejsze. Istny raj ziemski!

Raj ten miał swą Ewę, jasnowłosą i cudnie piękną kobietę, ubraną w śliczny negliz w stylu ateńskim, którego modę wznowiła właśnie wówczas piękna pani Tallien.

Tankred od razu poznał lady Pamelę Fitz - Gerald.

Jak już wspomnieliśmy, była ona Francuzką i w Paryżu uchodziła za najpiękniejszą kobietę osiemnastego wieku. Od czasu zamęścia upłynęło jej pięć lat, lecz uroda jej wcale nie zmniejszała się, owszem nabrała nowego wdzięku: powagi i spokoju.

Dwoje dzieci, istne dwa aniołki, znajdowało się obok matki, tworząc razem grupę niewypowiedzianej piękności.

Siedząc na miękkim szeslongu pod cieniem bujnych krzewów jaśminu, kobieta uśmiechała się do młodszego, rokosznego maleństwa, które spoczywało na zwojach jej greckiej tuniki, podczas gdy starszy braciśzek, piękny swawolnik przeszło trzyletni, biegał w około, wesoło wykrzykując.

Nie daleko od szeslonga znajdowało się dwóch mężczyzn: lord Edward Fitz - Gerald i jego wierny Tony.

Kędzierzawe włosy murzyna zaczynały już siwieć; pomimo plemiennych rysów jego rodu była to dziwnie miła i sympatyczna postać. Gdy rozmawiał z panem, gdy patrzył na panią lub dzieci, w oczach czarnego błyszczało widocznie przywiązanie i poświęcenie bez granic. Trudno było wyobrazić sobie czarnej twarzy, odznaczającej się większą dobrocią i łagodnością.

Co do lorda Edwarda był to zawsze ten sam człowiek skromny i prawy, ten sam bohaterski żołnierz i doskonały gentleman jakiego Tankred widział po raz pierwszy w Ameryce. Jak Pamela przedstawiała urodę Francuzek, tak mąż jej był uosobieniem męskiej piękności dawnych wodzów irlandzkich. Słońce dalekich stref opaliło silnie

i przyciemniło cerę jego twarzy, podobnie jak i oblicze Jakóba, do którego był bardzo, bardzo podobny. Wyraziste rysy przedstawiały harmonijne połączenie energii i łagodności, silnej woli i słodyczy miękkiej prawie. Śmiało zarysowany, lekko garbaty nos miał kształt, zwany orlim, oczy były duże, jasne i w spojrzeniu szczerości pełne; miły uśmiech, jaki tylko dobroć daje, zdobiła mu usta. Był jeszcze młody, miał rok trzydziesty czwarty.

Swobodny w lekkim ubiorze wiejskiego pana, uwydatniającym kształty, zarazem silne i pełne wdzięku, uwijał się razno w pośród grządek kwiatów, rwąc świeżo rozwinęte.

Gdy już zbierał pęk duży i to bardzo wdzięcznie dobrany, po cichutku i chyłkiem skierował się ku żonie i z tyłu, niedojrzany przez nią, obsypał kwiatami dziecię, wesoło śmiejące się na kolnach matki.

— Ach, Edwardzie! — zawołała — przestraszyłeś mnie!

— Przestraszyłem? — mówił, obejmując ją z tkliwością. — Czy możesz lekkać się czego, gdy jestem przy tobie, ukochana?

Teraz nie były to już kwiaty, lecz pieścizoty i pocałunki, któremi okrywał jej twarz i ręce.

Nigdy nie była tak piękną jak w tej chwili, zarumieniona szczęściem i miłością.

Starszy malec przybiegł teraz do rodziców i Fitz - Gerald podniósł go do góry.

— Teraz na nas kolej — zawołał — bawmy się!

I हुआ go wesoło a mała siostrzyczka, widocznie zazdrosna, wyciągnęła do ojca ręce.

— O i ona chce także! — zawołał. — Pamelo, daj mi ją również!

Młoda matka podniosła się, aby spełnić żądanie męża i rozpoczęła się naraz hałaśliwa zabawa na trawniku, ojciec gimnastykował to w kolej, to razem z obojgiem dzieci, śmiejących się radośnie a lady Pamela do spoglądającej ze słodkim uśmiechem wołała wciąż: — Ostrożnie.

Tankred i Jakób zawsze niewydzielni przyglądali się z przyjemnością tej scenie.

— Cóż wicehrabio — szepnął po cichu Dziki Ir: — Przekradaliśmy się tu, jak do tajemniczego siedliska spiskowców, a oko tymczasem spotyka najpiękniejszą idylę rodzinnego życia.

Zaledwie skończył te słowa, od strony domu, zapewne od głównej bramy dało się słyszeć silne dzwonicie.

Edward i Pamela spojrzeli na siebie, jak gdyby pytając się nawzajem wzrokiem, kto mógł mieszać ich spokój o tej porze?

— Pójdę zobaczyć — odezwał się murzyn, który rozumiał nawet to, czego nie mówiono.

W chwilę później na brukowanym podwórzu rozległo się stąpanie koni.

Tony, biegnąc szybko, powrócił.

— Miss Lucy — oznajmił — i miss Kornelia.

Słyszac to ostatnie imie, Jakób uczynił mimowolne poruszenie, które nie uniknęło bystrego wzroku Tankreda.

W ogrodzie cała rodzina wydała głośny okrzyk radości. Wszystko spieszyło na spotkanie przybywających.

— W korytarzu, ciągnącym się przez całą długość domu, dał się już słyszeć szelest długich sukni Amazonek. Pierwsza, która weszła do ogrodu, rzuciła się żywo na szyję Fitz - Geralda z okrzykiem, który się wyrwał z serca:

— Ach jesteś, jesteś bracie! Bogu dzięki, przybywamy na czas!

On uściśkał ją tkliwie.

— Cóż ci się stało, siostrzyczko? — zapytał przecież trochę zadziwiony i słowami i wzruszeniem pięknej panny, której jasno włosy, delikatna uroda, miała jednak jakieś dalekie z nim podobieństwo. Poznać było można brata i siostrę. Ona miała najwyżej lat siedemnaście, albo raczej siedemnaście wiosen. Sama była wiosną.

Towarzyszka jej, która ukazała się tuż za nią, stanowiła uderzającą z nią sprzeczność. Była wysoka, mocna brunetka i prawdziwie piękna.

Zdawała się nie dziewczyną, lecz kobietą: przypominała Dyanę Vernon.

— Jak się masz kuzynko Kornelio — odezwał się Edward, podając jej na przywitanie rękę.

Wicehrabia zauważył, że przy kapeluszu jej upięta była mała gałazka wrzosa.

Tymczasem lady Fitz - Gerald zbliżyła się wraz z dziećmi, aby powitać siostrę i krewną męża.

Lucya pragnąc jak najspieszniej wyjaśnić powód swego przybycia, witała się z jakimś gorączkowym pośpiechem. Następnie chwytając za rączki dzieci, zawołała z głębokim wzruszeniem: — Biedne, biedne aniolki, Bóg musi strzedz waszego ojca.

— Lucyo! zawołała lady Pamela — dla czego to mówisz? — Czyż Edwardowi grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Tak! zawołała miss Lucya z żywością — nie chcę i nie mogę nic ukrywać. Muszę mówić odrazu i po prostu, bo nie ma czasu do stracenia — siadajmy...

Ławka, którą wskazała, znajdowała się właśnie tuż pod oknem, za którego żaluzją ukrywali się Tankred i Dziki Ir. Lucya zajęła na niej miejsce, mając z jednej strony bratową, z drugiej Kornelię a na rękach małą siostrzeniczkę.

— Co to ma być, Lucyo? zapytał sir Edward wesoło, choć słowa siostry powinny były usposobić go inaczej. O co mnie oskarżasz?

— O! tak, dobrze mówisz, bo oskarżam cię o bardzo wiele rzeczy. Bracie, jak ty możesz nie tylko nie dotrzymać słowa, danego naszej matce, ale mieszać się i łączyć z temi strasznymi rzeczami, które nurtują kraj nieszczesny? Ty i oni... ci burzyciele spokoju... Oh nie mogę pojąć tego, co niestety jest jednak prawdą...

— Co jest prawdą?

— Że jesteś z temi, przeciw którym powinienś być raczej: łączysz się z szalonym motłochem — ty! Fitz — Gerald... Co cię mogło pchnąć do tego? Z czego jesteś niezadowolony? Co ci brakuje?

Była wzruszona ogromnie, lecz Fitz - Gerald odpowiedział spokojnie.

— Brak mi, siostrzyczko, tej nieodzownej dla mego serca rzeczy, abym nie widział w około siebie cierpień i niesprawiedliwości. Gdy się żyje wśród uciszonych, nieszczesliwych, nikt nie ma prawa do szczęścia!

Lucy uderzyła ręką w rękę z rozpaczą.

— Znowu! — zawołała — znowu te słowa, te pojęcia nieszczesliwe, które wyrzuca ci wuj Richmond. W końcu będę musiała uwierzyć w to, co mówią wszyscy nasi krewni, a to, że jesteś nadmiernie wyniosły: że jesteś ambitny!

— W istocie mam ambicję — chce być użytecznym memu narodowi — odpowiedział Fitz - Gerald. — Niczego dla siebie osobiste, ale bardzo wielu rzeczy pragnę dla biednej naszej krainy — dla Irlandyi. Jak to, Lucy, ty tak dobra i szlachetna, miałaś byś nie pojmować co to jest miłość ojezyny? Zapytaj Kornelię, a jestem pewny, że nie przyniewierzy się uczuciom swoim, przynajmniej mi słusność.

Wybrana na sędziego dziewczica była aż do tej chwili smutnie zadumana. Teraz oblał jej licę rumieniec i lzy błysnęły w jej pięknym oku.

— Edwardzie — rzekła — pamiętaj przecież że jesteś mężem i ojcem: och! pamiętaj!

— Otóż słyszysz! — zawołała Lucya z tryumfem. — Kornelia powiedziała ci prawdę: zapomniaś, że masz obowiązki! Och! jesteś niedobry, jesteś okrutny i bardzo lekkomyślny, przybywamy też, aby cię ostrzedz, że wykryło się na ciebie coś bardzo złego, co może mieć ciężkie następstwa. Powiadają ci to od sir Reginalda Cornwallisa.

— Od syna vice-króla — zawołała Pamela z wyrazem trwogi.

— Twój narzeczony nie powinien być niepokoić cię — rzekł sucho sir Edward.

Lucy wzruszyła ramionami, z pogardliwym uśmiechem.

— Nie mam żadnego narzeczonego — odparła — nie mam i nie prędko mieć go będę. Na co? Po co?

— Ale sir Reginald jest nie mniej bardzo dobry — dodała zaraz potem. — Gdy przybył do nas dziś rano, przyjąłam go jak zwykle, to jest źle, oziębłe i byłam pewna, że będzie nudzić mnie jak zawsze, a on poczciwy pospieszył do nas, aby cię ostrzedz i uratować. Kazał ci wyjeżdżać natychmiast z domu i uciekać do Francyi.

— Wyjeżdżać z domu, uciekać! wykrzyknęła lady Pamela, a sir Edward, teraz nagle spoważniały, dodał: — Sir Reginald ci to mówił, Lucyo?

— Tak, tak! i coś więcej jeszcze. Wysłano już rozkaz, aby cię uwięzić i on może jedynie przetrzymać go przez dzień jeden.

— Usłuchaj go bracie — dodała — usłuchaj... On dla ciebie zdradził tajemnicę stanu...

— Lecz czy ty kto nie słyszysz? zapytała nagle z trwogą.

W tej chwili Tankred de Gaillefontaine podniósł żywo żaluzję: — Lordzie Fitz - Gerald — rzekł — znajduje się tu dwóch twoich przyjaciół.

X.

Narada.

Za pierwszym spojrzeniem Fitz - Gerald poznał Tankreda i zawołał: — Ach, to ty, wicehrabia de Gaillefontaine!

— Którego przysłałi nasi przyjaciele z Francyi — dodał Jakób.

Lord Edward opuścił natychmiast ogród i zniknąwszy na chwilę w głębi domu, ukazał się zaraz na progu gabinetu.

W kilku słowach Tankred wyjaśnił mu swe posłannictwo. Następnie pokazał list Hoche'a, który jak wiemy był adresowanym do Artura O' Connor.

Fitz - Gerald pobiegłszy do okna, zawołał Tony'ego.

Po chwili zjawił się murzyn.

— Zanieś ten list sir Arturowi — rozkazał jego pan — poproś go, aby tu zaraz przyszedł.

Tony pospieszył wykonać rozkaz. Tajemne drzwiczki otworzyły się, dając mu przejście i zaraz zamknęły się za nim.

W tej samej chwili weszła Lucya innemi drzwiami.

— Bracie — odezwała się śmiało — nie powiedziałaś mi, co postanowiłeś uczynić. Przytem jeszcze nie skończyłam.

— Potem siostrzyczko, potem będzie o tem — odezwał się z łagodną powagą. — Te rzeczy obchodzą osobście mnie jednego.

Jakób i Tankred stali w drugim końcu pokoju. Edward zbliżył się do nich. Zamienili ze sobą po cichu kilka słów i kilka krótkich wyjaśnień.

Podczas tej ich rozmowy Lucya żywo wyszła, lecz wróciła zaraz, prowadząc do pokoju dzieci i bratową. Posadziła ich na sofce, mówiąc im niejako spojrzeniem: — Nie obawiajcie się, jestem tu z wami i musimy go ocalić. Nie traćcie więc odwagi i nadziei!

Za tą grupą stała Kornelia, ręką wsparta o poręcz sofy.

Po upływie kilku minut drzwiczki tajemne otworzyły się znowu. Ukazał się w nich człowiek już nie młody, wysokiej postawy, z twarzą pełną godności. Takiemi musieli być królowie Irlandyi, których on był ostatnim potomkiem, był to bowiem parokrotnie już wspomniany Artur O' Connor.

Trzymał w ręku list Hoche'a. W milezeniu podał go otwarty Fitz - Geraldowi.

Podczas gdy gospodarz czytał, Jakób zbliżywszy się z uszanowaniem do starca, zawiadomił go jak sobie radził w nowym położeniu, i jakie rozkazy wydane zostały na czas ośmiu dni.

Lord Edward po przeczytaniu siadł i rzekł smutnie: — Hoche nie żyje... Przytem rząd odkrył widać jądro spisku, co tu więc robisz?

— On jeszcze pytał — zawołała Lucya. — Uciekać natychmiast, bez namysłu, bez straty ani jednej chwili. A spodziewam się, że i sir Artur tak samo jak my, będzie cię również nakłaniać do tego.

[Zwróciła się ku starcowi, przesyłając mu błagalne spojrzenie.

— Miss Lucyo — odpowiedział tenże z dwornym uśmiechem — pozwól nam łaskawie zastanowić się i naradzić.

— Dobrze, ale naradzajmy się spiesznie! — odparła z miną zdecydowaną, która nagle zdawała się czynić ją wiele starszą.

Poczem zwróciwszy wzrok na Jakóba, rzekła: — Jacku, o! Jacku — jesteś dla nas prawie bratem, i ty nie będziesz wstrzymywać Edwarda! wszak prawda?

Tankred uważając się za osobę zbyt cenną w tem kółku, chciał w tej chwili oddalić się.

Młoda dziewczica zastąpiła mu drogę i spoglądając mu prosto w twarz z całą zachwycającą niewinnością szczerego, poczciwego uczucia, odezwała się: — Panie wicehrabio, widzimy się po raz pierwszy w życiu, lecz Edward mówił nam często o panu. Wiem dobrze, że jesteś jego dobrym i wiernym przyjacielem. Przeczucie każe mi mieć wielkie zaufanie w pomoc pana. Idzie tu, że tak powiem, o radę familijną: zostań pan, i należ do niej.

Tankred wzruszony i zachwycony — skłonił się.

Tymczasem mężczyźni rozmawiali żywo, aż Artur O' Connor, rzekł nagle: — Miss Lucy, czy możesz pani trochę nam rzecz wyjaśnić, dać jakiś dowód, przekonywający, że w istocie sprawa stoi tak bardzo źle, jak zawiadomiłaś nas o tem.

— Tak, mogę, mogę to zrobić i powiedzieć panom wiele rzeczy — odparła młoda dziewczyna. — Reginald nie ukrywał przedemną nic... wiem prawie tyle, co angielska policja.

— A więc?... — Potężeni Irlandczycy mają tajemny dyktoryat, złożony z siedmiu członków, którzy zgromadzają się w Dublinie u armatora Tomasza Raynolda. Czy mam powiedzieć panom nazwiska? A zatem: Sir Artur O' Connor, lord Edward Fitz - Gerald, dwóch braci: Henryk i Jan Sheares, sir Addis Emmett i doktor Slowius Jumble — nie licząc Wolffa Sone, agenta spiskowych we Francyi. Ten tylko ostatni jest w tej chwili bezpieczny.

Edward i sir Artur spoglądali na siebie pomieszani. — Ale kto jest szatanem który zdradził — zawołał nagle Dziki Ir.

— Szatanem! — przerwała mierzająca aż dotąd Kornelia. — Tak w istocie, jest to szatan, wyległy z piekiel na nieszczęście Irlandyi. Samo nazwisko jego przekona panów, o całej rozciągłości grożącego wam niebezpieczeństwa: pólkownik Armstrong już od trzech dni znajduje się w Dublinie!

Tankred wyprostował się nagle.

(Dalszy ciąg nastąpi)